

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 14 IX. 1952 r.

Nr. 37 (571)

Wolni wśród wolnych

O SIEM lat przeistoczyło naród i kraj. Osiem lat odmieniło rolę Polski w skali historycznej i międzynarodowej. Po raz pierwszy jako nowożytnie państwo Rzeczpospolita kieruje wzrok spokojny w jutro z wiarą, że zawiera ono dalszy wzrost, dalszy rozkwit, niekończący się ciąg rozwojowy. Po raz pierwszy wzdłuż granic Polski nie ma złowieszych murów nienawiści, ale mosty przyjaźni wiążące kraj z wielką i twórczą społecznością międzynarodową, w której znikł wyzysk człowieka przez człowieka i narodu przez naród. „Wolna wśród wolnych, równa wśród równych i wspierających się wzajemnie narodów”, zjednoczona na prastarych ziemiach polskich, w narodowych granicach, silna, jak nigdy w historii, związana przyjaźnią ze wszystkimi sąsiadami, Związkiem Rad, NRD i Czechosłowacją, ze wszystkimi krajami demokracji ludowej — Polska zakłada wraz z nimi fundamenty nowej organizacji świata, skąd wygnana będzie na zawsze wojna, gdzie na zawsze będzie obalona tragiczna nierówność ludów.

Na rozległych obszarach globu wciąż jeszcze rozciąga się panowanie Wielkiej Krzywdy. Linia podziału biegnie tam w poprzek granic, coraz głębsza przepaść oddala garść rządzących od trzonu społeczeństw, dzieli sprawców wojen od spragnionych pokoju. Osiem lat zaostriżyło sprzeczności imperializmu. Anglia stoi nad brzegiem bankructwa, Belgia wstrząsa „pierwszy bunt w obozie atlantyckim”, jak określiła to prasa burżuazyjna, we Francji, Włoszech, Trizonii szerzy się wrzenie. „Choroba nie zabija jeszcze pacjenta — wola amerykański dziennikarz — lecz jest nieuleczalna bez nowych uzupełnień środków, na które nasz Kongres nigdy się nie zgodzi”. Niewymieniona nazwa choroby brzmi: kapitalizm. Nie więc dziwne, że Kongres USA nie może się zgodzić na jej uleczenie.

Dlatego z taką czujnością śledzą imperialiści każdy nasz krok. W smutnej epoce dwudziestolecia, gdy Polska była ubogą kolonią monopolu, żaden strateg amerykański nie troszczył się o sanacyjne, czy chłenioplastowe wybory. Dziś Waszyngton tak jest zajęty biegiem naszej kampanii wyborczej, jakbyśmy byli co najmniej Kanadą czy całą Ameryką Południową. Przyczyny są jasne. Rząd Stanów Zjednoczonych przygotowuje wojnę, a Polskę po raz drugi w ciągu pokolenia przemycza na żer hitleryzmu. Dopóki Polska „pawiem narodów była i papuga” — łatwo było przesadzić jej los, uczynić z niej krwawy łachman i nazwać cynicznie „natchnieniem ludów”. Ale my znamy cenę tego „natchnienia”, znamy rozpacz samotnej walki i złowrogi owoc nienawiści. Wolni wśród wolnych, równi wśród równych nie z nienawiści czerpiemy naszą moc, lecz ze skupionych, zeszlizanych w jedno sił twórczych narodu, których manifestacją był każdy dzień ubiegłych ośmiu lat, których dowodem jest cały nas dorobek, których przeglądem staną się wybory.

A gdy upłynę drugich lat osiem, gdy obok wielkich budowli komunizmu stanie dziesięćkroć wzmocniona gospodarka moć nasza, naszych sąsiadów i sojuszników i światu zapewni trwały, powszechny pokój — wówczas nas w ciemnowej koronie mecenarzy, ale wsparta o „wielki naród stu narodów”, w kłótni wieściu dosytu i w gorli obfitości będzie Polska prawdziwym natchnieniem ludów.

Pisał przed laty Mickiewicz: „Dość ucho przyłożyć do ziemi: tam w tawernach niemieckich, na foburgach paryskich, nawet w chatkach włoskich, jeden rozchodzi się huk wrzający trzęsienie ziemi. Kiedy nastąpi burza, za rok czy za lat sto, dla mnie obojętne pytanie: rzuci, że nastąpi musi”.

Sio! lat unylnęło.

Andrzej Skiba

NIGDY jeszcze w swych dziejach naród polski nie był tak zjednoczony i scementowany ideowo, jak jest dziś w okresie władzy ludu pracującego, w okresie budownictwa nowego swego życia, nowego ustroju sprawiedliwości społecznej.

O podstawach tego ustroju, o zadaniach tego budownictwa mówi jasno i wymownie opublikowany wczoraj Program Wyborczy Frontu Narodowego. Dawne programy wyborcze z okresu burżuazyjnego zawierały zazwyczaj masę obietnic, szumnych hasel i frazesów, o których walczące między sobą o wpływy partie burżuazyjne zapomniały natychmiast, gdy minęły wybory. Program Frontu Narodowego natomiast jest oparty na granitowej podstawie naszych osiągnięć, na codziennej pracy i walce mas ludowych. Jest to program, który każdy może sprawdzić, oceniając zarówno to, co zostało już osiągnięte i zrealizowane w ciągu minionych lat, jak i to, co wykonywane i urzeczywistniane jest przez sam lud pracujący codziennym jego wysiłkiem. Program ten mieści w sobie, rzecz jasna, także to, co stoi przed nami jako zadanie dnia jutrzejszego, zadanie lat najbliższych, ale co wypływa z istniejącej już dziś sytuacji, z istniejących już faktów i osiągnięć. Są to zadania wielkie, porywające, zdolne pobudzić do czynu masę i do ofiarnej pracy każdego człowieka. Tylko młoi, bezduszni ludzie, ośmoleni kłamstwem, sobkostwem i egoizmem burżuazyjnym stać będą na uboczu. Tylko kulaści i spekulanci, którzy wicherzą przeciw ludowi, znajdują się poza obrębem szerokiego nurtu narodowego. Tylko wrogowie i agenci imperialistycznej mągi wazy się na walkę, na przeciwstawianie się tym wielkim i sprawiedliwym dążeniom narodu. Tylko oni będą próbowali rozszepać jedność narodu, kroczącego śmiało i zdecydowanie po nowej drodze swego rozwoju. Ale naród odepchnie od siebie to wszystko, co zgniłe, wsteczne lub zwyrodniałe. Silny jednością mas pracujących naród polski osiągnie swe zadania historyczne, urzeczywistni swe plany gospodarcze, zbuduje nowy, lepszy i sprawiedliwy ustrój społeczny — socjalizm! (oklaski).

(Fragm. przemówienia na Dożynkach w Krakowie)

BOLESŁAW BIERUT

Powrotna poczta...

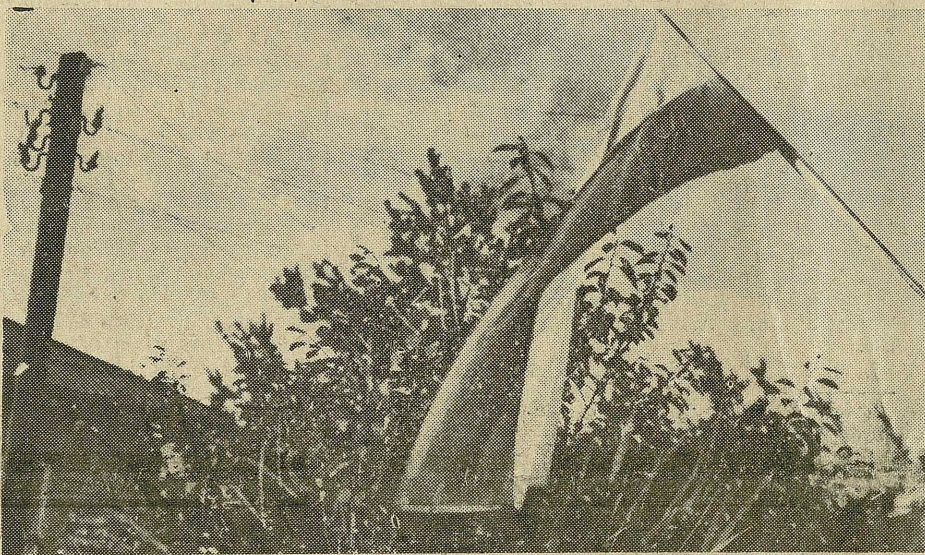


Foto J. K. Maciejewski

GROMNIKI — 6 września 1952 r.

WIECZOREM zasiadłem, aby nie mieszkać napisać do Redakcji jakie myśli i uczucia wzbudził we mnie Program Wyborczy Frontu Narodowego, dopiero co ogłoszony.

Urodziłem się i mieszkam w powiecie tarnowskim, gdzie mój dziad znał ks. Stojalowskiego, gdzie mój ojciec pamiętał Stajńskiego i znał się z Witosem.

Pochodzę więc z powiatu, w którym dwa — trzy minione pokolenia chłopiekie ocierały się o „wielką” politykę i znanych działaczy ruchu ludowego. Ale tamtym pokoleniom nie dane było zaznać tego, co przeżywa nasze pokolenie.

„Nasze pokolenie — jak powiada Program Wyborczy — znalazło w sobie odwagę, aby podjąć dzieło trudne, lecz niezbędne: odrobienia w ciągu niewielu lat ogromnego zaoferowania”.

Zapytuję sam siebie, jakiej miary jest i ma być nasza odwaga? A odwagę poznaje się po tym, co potrafi ona osiągnąć. Otóż i na to pytanie odpowiada Program Wyborczy.

„Wykonanie wielkich Planów Narodowych bieżącego 10-lecia uczyni Polskę krajem potężnym, nowoczesnym przemysłu, krajem rozwijającego się, postępowego rolnictwa, krajem wysokiej kultury, jednym z produkujących krajów Europy”.

Na takie wielkie dzieło znalazło w sobie odwagę nasze pokolenie. Ma się rozumieć w nowych warunkach rodzi się ta odwaga. Nasza ojczyzna wolna jest od masek imperialistów, które przed wojną grzebały w naszych bankach i fabrykach, w naszych stronictwach i rządzie mianowańców. Nasz naród przeżył rewolucję. Nie ma już u nas w kraju wielkich kapitalistów. Chłopów nie tumani więcej „polityka ludowocowa”. Chłopów łączy sojusz z robotnikami, a spójnię tę koronuje rząd ludowy. — Otaczają nas ze wszystkich stron narody, co tak żyją socjalizmem. A wspiera nas i ochrania przed wrogiem Związek Radziecki, ostoją światowego pokoju i światowej sprawiedliwości.

Ze dopiero w takich warunkach „nasze pokolenie znalazło w sobie odwagę” — to fakt. Ale również faktem jest, że zdobyło się na odwagę.

Z tego trzeba sobie zdawać sprawę. Bo świadoma odwaga jest zawsze dwa razy większa odwagą i daje dwa razy większą wiarę w przyszłość.

Chciałem najpierw na podstawie tej nowej odwagi w każdym z nas chłopów mało i średniorolnych — napisać o przemianach w moim osobistym życiu za ubiegłe 8 lat. Ale się rozmyślił. To byłaby ta nieświadczona odwaga. Najpełniejszą, najbardziej świadomą wyraził Program Wyborczy naszego Frontu Narodowego. Pokazał odwagę całego narodu: robotników i chłopów, inteligentów i oficerów, kobiet i młodzieży. Na wszystkich polach pracy i walki w naszym kraju, w naszej ojczyźnie.

Albo kiedy ja miałbym świadczyć o tej odwadze, za dużym byłoby dla mnie mówić o całym narodzie a za mało o sobie. Powiem o naszej gminie. Obejmuje ona 2800 gospodarstw, 85 proc. to mało i średniorolni, a w naszych stronach, jak wiadomo, mniej niż w Poznańskim czy Lubelskim przypada ziemi na mało i średniorolnego chłopca.

Cóż ja chcę powiedzieć o naszej gminie Gromniki? Chcę w dowodach pokazać odwagę nie jednego, pojedynczego chłopca, ale kilku tysięcy, wśród których żyję, których znam mniej lub więcej. Nie o szczegółach też będę pisał życia domowego. Ale o tym co powszechne i główne. A główną wydaje mi się odwaga chłopów mało i średniorolnych „w walce o zwycięskie wykonanie historycznych planów narodowych”, o jakich mówi Program Wyborczy.

Mało jest popatrzyć na siebie. Trzeba się rozejrzeć dookoła, a wtedy w całej okazałości zobaczysz się potęgę naszego marszu naprzód. Niech by tak każdy chłop rozejrzył się po swojej gminie a przekona się jaka władza ludowa, jaka socjalizm, jaka sojusz robotniczo — chłopski wyzwoliły w nas odwagę i siły twórcze.

Mamy już trzeci rok Planu 6-letniego. Czy nie czujemy go w produkcji na naszej gminie? O, jeszcze jak! Wydajność z ha zbóż podniosła się o 4 q, buraków o 150 q, kontraktacji roślin przemysłowych i obszar ich uprawy zwiększył się trzykrotnie. Hodowla bydła, trzody chlewnej i drobiu wzrosła o 60%.

Popatrzyć na tabelkę, jaką wypracowali z obliczeń nasi przodkowie. Tabela naszej gminy.

	Rok 1949	rok 1952
żyto	— 10 q	13 q
pszenica	— 9 q	13 q
jęczmień	— 14 q	20 q
buraki c.	— 200 p	350 q
ziemniaki	— 90 q	110 q

Co wpłynęło na to planowe zwiększenie produkcji? Nawozy sztuczne, możliwość ich otrzymania i umiejętne stosowanie. Dalej, dobre przechowywanie obornika i jego przyrost, dalej — siew poplonów, siew rzędowy, wczesne podorywki. Dalej — polećka doświadczalna, popularyzacja wiedzy rolniczej i maszynowa pomoc w uprawie.

Te wszystkie rodzaje pomocy i te wszystkie szczeble nauki dała nam Polska Ludowa. Ale nie z wysiłków brata i nauczyciela, kiedy uczeń nie chce i nie potrafi się nauczyć. O tym nie można zapominać. Dlatego w tej naszej przelanej w rolę i w nasze wyniki w gminie, trzeba zobaczyć odwagę, jaką znalazło w sobie nasze pokolenie. Trzeba zobaczyć rozbudzoną wiarę we własne siły twórcze i rosnący wraz z nią zapal.

Opłacalność hodowli, rozprężona przez chłopca ze wszystkich stron: tak cenny, jak pomocy państwa w kredytach i paszach natchnęła go odwaga do rozszerzenia upraw paszowych. To przecież cała rewolucja. Jakże się chłopci rzucili w 1950 roku na siew rzędowy, kiedy u nas SOM od roku 1948 wprowadził siewniki. Odwagę od nich wymagała decyzja na równoczesne podnoszenie gospodarki zbożowej i hodowlanej, kiedy dawniej pierwszą przekładano w drugą i to było wszystko. Siew poplonów stał się powszechny. Seradela, lubin, wyka wzrosły czterokrotnie, ale też patrzeć: w r. 1949 za kontraktowano 400 sztuk trzo-

B. CHECINSKI — Notatki z podróży. J. STAWINSKI — Na estradzie wyborczej USA. S. CIESLAK — Siła nabywcza w r. 1951. H. FILUTOWICZ — Miczurinowcy przy pracy. L. WALLICHT — Dzieje jednej zbrodni. W. BILLIP — Kronika z lat walki. W. BORK — Pokróćcie o wszystkich naszych sprawach. A. DASZEWSKA — Piszcie o kobietach. A. KUCIEL — W trzech powiatach trzecia jest... S. NAGY — Błąd do naprawienia. G. TIMOFIEJEW — Issakowski o kunszcie po etykim.

TV NUMERZE

JACEK MICHNIAK

Przez serce narodu



PIERWSZY raz byłem w Warszawie w r. 1926 po przewrocie majowym. Miałem ućka w Ameryce, który posiadał farmę i chciał mnie sprowadzić do roboty na tej farmie. Zawiedzione zostały nasze chłopskie nadzieje, więc mieszkając pod Giewontem pomyślałem sobie: akurat w porę ten „angażma”, wyjdę w taki czas i tyle.

Wujek obiecał mi płacić 30 dolarów miesięcznie a nie przyznał się, że jego farma idzie do upadku i ostatni ratunek dla plantacji tytoniowej, to tani pracownik dla którego, jak w tę matnię raz się zaplać, wyjścia już miał nie będzie. Byłem więc jako kuzyn w sam raz dla ostatnich podrygów rujnowanego farmera. Nic jednak o tym wówczas jeszcze nie wiedziałem i w dobrej wierze jechałem do Warszawy z papierami ućki do konsula USA. Podróż kosztowała mnie na owe czasy dużo, bo około 50 zł. Kolejami jeździłem wówczas „panowie”, było więc przestronno, ale po chłopsku przycupnął z brzęka. Palić też nie mogłem, bo miałem machorkę. Pany mnie ochustały, że smrodzę w przedziale. A choć im rzekł, że to monopol polski, kazali mi kopcić w ustępie.

Zajechałem wreszcie do Warszawy. Miasto ogromne i ruchliwe. Zaraz mnie opadli andrusi. Poznali widząc chłopka, co pierwszy raz w stolicy. Ale się roztropnie wywinął z ich nabierań i jakoś odnalazłem konsulat USA na Jasnej ulicy. Tam przejrzałem moje papiery od wujka i zapisał na numer kolejny emigrantów. Kiedy? — pytam obracając w rękę numerkę — za cztery lata — powiada.

Głupio mi się zrobiło, ale co było robić, kiedy taki porządek nastawał. Krewnych żadnych ani znajomych w Warszawie nie miałem. Tom zaraz, jak zbity pies zawrócił na dworzec. Po drodze obok przepychu kamienic i grubych panów, zobaczyłem teraz tłumy nędzarzy. Kupiłem bilet, głowę wtuliłem w kożuch i pod Giewont z powrotem.

Drugi raz znalazłem się w Warszawie w marcu bieżącego roku z okazji 3-lecia „Gromady”. Co przeżyłem, opiszę. Ale najpierw powiem, że teraz nie jechałem do nieznanego mi miasta, jak w r. 1926. Na naszej wsi czytają górale dziesięć razy więcej gazet, niż przed wojną. To się wiedziano z roku na rok, co słychać w Warszawie.

Najpierw, że cała w gruzach. A na fotografii aż strach było patrzeć. Potem, że „Prezydent Bierut zamieszkał w tych ruinach i powiedział: tu od wieków bije serce narodu, tu jego stolica! I stało się, jak powiedział. Ogładał się na zdjęciach nowy most na Wiśle, potem Trasę W-Z. O Krajowym zrobiło się głośno, o trójkach i piatkach murarskich, o nowych, błyskawicznych sposobach budowania.

A przecie co jakie wydarzenie polityczne ważniejsze, co jaka uroczystość narodowa, co jaka zard a zjazdów to było a było i będzie, bo teraz rządzi, obraduje i planuje cały lud pracujący — więc znów wiadomość o naszej stolicy. Pisuję góralom w potrzebie różne podania, przy tej okazji w korespondencjach do Radia, Rolnika i Gromady, atakowałem dawniej Gminną Radę za to, że spalił tam, jak świataki w Tatracach, ale się zbudziło, bo rozumiećli to dobrze, że w Warszawie orientują się nie gorzej niż w gminie. Teraz jest już między nami zgoda. Ale zawsze wolę, żebym czasem nie upadł do urzędu i nie zrobił tam porządków, bo oświecenie — powiada — mam z tego, co sam rząd w Warszawie mówi. A to jest tak, że jak człowiek co przegapi, to każdy góral, kiedy przyjdzie, coś przypomni i dopowie i choć pod Giewontem skała, niebo i woda, ale Warszawa ludowa w naszych myślach i sercu, więc najbliższe.

Dwa dni jeździłymi autokarem. Żeby nie resztki ruin, człowiek by nie wierzył, że nowa, już zbudowana stolica i ta co się bez przestanku buduje, wyrosła z gruzów i popiołów.

Dlatego powiem najpierw o Ghetcie. Tam miał Hitler stawiać sobie pomnik zwycięstwa zbrodni. Stoi tam teraz pomnik Żydowskich Powstańców, symbol klęski Hitlera, klęski bestialstwa faszystów. A niedaleko pomnik Dzierżyńskiego na dawnym placu bankierów. Na tym placu wzrok leci w dal, i takie uwarunkowanie ma się wszędzie, gdzie nowa dzielnica. Na mostach, na Trasie W-Z, na Nowym Świecie, na Muranowie, Młynowie, Ochocie, Mirowie i na MDM-ie. Taka tu zasada jak u nas w górach. Piękna zasada. Nie masz człowiekowi zgubić się i zgubić, ale szeroko obejmować wzrokiem i daleko widzieć wprzód.

To też kiedym w Wilanowie zwiadał piękny pałac króla Sobieskiego — pośmiałem się trochę. Miał ci to być „pomnoma pogańskich Turków”, i „obrona chrześcijaństwa” a budował się za pomocą włoskich artystów, którzy miast świętych wystawili bez liku figury nagich piękności. Wywnioskowałem, że Sobieski w sztuce na widoku publicznym bronił Greczynek przed Turczykami. Tak to wielmoże zabawiali siebie a legenda tumaniła naiwny naród. Ale przestała już tumanić i przestanie.

Bo prawda jest w tym, że w Warszawie nie widziałem nigdzie, żeby na placach noszono cegły. Maszynę i dźwigi pomagają dziś pracującym człowiekowi. Na Żeraniu taśma podsuwa części robotnikom. Czystość w tej fabryce i dbałość o człowieka. Takiego porządku nie wyobrażałem sobie dotąd. Toteż i samochody wychodzą stamtąd, jak cacka.

W trzy miesiące później znów byłem w Warszawie na Krajowym Zjeździe Korespondentów. Teraz pojąłem, że dla nas z różnych stron Polski dwie są rzeczy ważne: oglądać stolicę i być w stolicy. A to nie to samo. Oglądałem Warszawę już w 26 roku, ale kto chciał — po przewrocie majowym — abym przybył do stolicy? Kto? Rząd? Naród? A teraz w naszej Polsce z milion chłopów było już w Warszawie na zaproszenie naszej władzy ludowej i w delegacji z gmin i powiatów. Zjadły, zloty, narady, manifestacje to ta nowa siła pędna, która przez serce narodu przetacza dziś produkujących chłopów, chłopów-działaczy z przeróżnych organizacji. Tak to serce narodu napędza z powrotem w tętnie na cały kraj nową krew życia. Podchodźmy do samego serca i tam w stolicy, uradzimy razem z ministrami i najwyższymi władzami Partii, wracamy pełni wiary, wiedzy i siły do walki i pracy aby

(Dokończenie na str. 2-e)

Władysław Janiczek

SANDOR NAGY

W WĘGERSKIEJ REPUBLICE LUDOWEJ

JULIAN STAWIŃSKI

BŁĄD DO NAPRAWIENIA

(Fragment opowiadania)

Sandor Nagy jako dziecko wsi zna jej błąd, tocząc w opowiadaniach swoitn pisze o walce klasowej węgierskich chłopów pracujących i o sprawach spółdzielczości produkcyjnej.

Utwór „Błąd do naprawienia” wyróżniony Nagrodą Stalinowską, należy do najlepszych osiągnięć artystycznych Nagyego.

TOWASZYSZE! Pokazaliśmy ludziom naszej wsi, co umiemy, kto nie jest ślepy — ten widzi... Rozgłosmy nowinę o naszych wynikach... Nie boimy się mówić prawdy... Mamy już wielu członków, ale spółdzielnia potrzebuje jeszcze więcej... Sprowadźcie jak najwięcej kandydatów jutro na zebranie!... Jeszcze więcej nowych deklaracji!... Z tego nie wynika, że przyjmujemy każdego, kto się zgłosi. Tak wcale sprawa nie stoi. Nie przyjmujemy kulaków, ani tego, kto, zaprzędną kulakom, przez cały czas ponizł naszą pracę. — Tu pyzta twarz przewodniczącego nabiegła krwią. — Nie przyjmujemy chyba był maio, albo nawet bezrolnymi!

Sala odpowiedziała hucznymi oklaskami. — Wymyślowali się z nas! — A na mnie dewotki pluły! — Dosyć mamy wrogów, jeszcze gorzych niż kulacy! — padły ze wszystkich stron okrzyki.

Pali Bózsó, widząc, że zebranie przybiera nieoczekiwany obrót, kręcił się niespokojnie. Zależało mu na utrzymaniu w spółdzielni linii partyjnej. A przewodniczący Kalman stał skrecał to na prawo, to w lewo. Padły nazwiska biedaków wiejskich, którzy w braku świadomości sprzeciwiali się kiedyś zakładaniu spółdzielni. Kata Sarok, dziewczyna z zadartym nosem, wystąpiła przeciw swojemu bratu: — On robi wszystko, ażeby się zapisał! Ale nie dawajcie mu, Kalman, deklaracji, choćby nie wiem jak prosił! — wywijała zgrubiałymi rękami i wstawczy z miejsca, podbiegła do stołu prezydenckiego, i nuzę wylażała, ile świnstw narobił jej brat.

W końcu sam przewodniczący, widząc jaki niespodziewany wpływ wywarło jego przemówienie, poczuł się nieswojo. Pali Bózsó rozdział usta, ospowata twarz mu przybladła, chciał coś rzec, ale nie mógł, bo Kalman Juhasz bijąc pięścią w stół, kończył swoje przemówienie: — Jednym słowem każdy wie, co ma robić, wie także Zarząd. Jeżeli się zgłosi ktoś niepożądanym, powiem mu krótko: zmiać, gdzie pieprz rośnie! Innych zaś przyjmujemy z ochotą, niech się powiększa socjalistyczna rodzina! Minione półrocze przyniosło nam bogaty plon. Niech żyje Partia! Niech żyje nasz wielki wódz Rakosi! Niech żyje wielki chorąży pokroju — Stalin! — Niech żyje! Niech żyje! — zawrzała sala i gromkim chórem odpisywano Międzynarodówkę. W śpiewie prym wodził rozentuzjuszomani młodzi. Ich oczy zdradzały wzruszenie.

Po zebraniu Bózsó natychmiast podszedł do Juhasza. Właśnie Kalman chował do szuflady papiery. Głos organizatora Partii brzmiał urzędowo: — Towarzyszu Juhasz, swoim wystąpieniem zaszkodziłeś naszej sprawie. My nie możemy odrzucać ani jednego pracującego chłopca, dlatego, że kiedyś przez nieświadomość nam przeszkadzał.



— Pewnie, że nie! — zaperzył się Juhasz. — Odrzuciłbym tylko zdecydowanych wrogów.

— Chłop pracujący nie jest naszym wrogiem.

— Co do tego wszyscy jesteśmy zgodni — odpowiedział Juhasz a twarz mu poczerwieniała. — Ale my znamy nazwiska naszych wrogów. Oczywiście mam na myśli pewne osoby. Zdrajca Ferenc Nagy! też był chłopem.

— Wróg pozostanie zawsze wrogiem, ale tutejsi chłopcy dopiero otwierają oczy — Bózsó tupał koślawymi butami. — Jeżeli ich tak potraktujemy — zniechędzą nas całą wieś.

Juhaszowi oczy zasły mglą, rozłożył szeroko ręce i syknął: — Może myślisz, że ja z Pistą Hajdu będę z jednej miski jadł czeresnie? On przez cały rok szydził ze mnie! Zapomniałeś, ile nocy ślezał Komitet Założeńcki... Pracowało się resztkami sił. A teraz dranie chcą przyjść do gotowego? Żeby się śmiał z nas w kulak?... Nie doczekają się tego nigdy!

Nacisnął kapelusza na głowę, zgasił światło i wyszli, zamykając drzwi. Przewodniczący perorował dalej: — Każdy wypadek trzeba rozpatrywać oddzielnie. Tak nas uczy „Szabadnép”. Ja stale czytuję rubrykę „Z życia Partii”. A skąd Partia może wiedzieć o szczegółach walki klasowej w Illimány? Wy z Puskasem! też wszystkiego nie wiecie.

Teraz już dyskutowali na jasno oświetlonej drodze. Przerazony Bózsó przeniknął cały ogrom niebezpieczeństwa. Bał się, że Juhasz powodowany nienawiścią do szwagra może przeciągnąć strunę. Uświadomił sobie własny błąd: zamiast przy spotkaniu z Pistą wywrwać zio z korzeniami, pozwolił mu rosnąć, a na zebraniu nie chciał pisać nastroju, gapił się beczennie. Oczywiście teraz już to późno. Sytuacja zmusiła go do rozpalczego kroku. W pewnej chwili Bózsó oburzył chwycił Juhasza za ramię: — Kalman, wiedz, że nie dopuszczę do tego odchylenia! Ja też harowa-

łem dla dobra spółdzielni i dlatego nie pozwolę jej szkodzić. Rozkazuję ci w imieniu Partii, rozumiesz?

Juhasz wyrwał rękę z uścisku gdy Bózsó wyjął z kieszeni fajkę i podniósł ją do ust. — Rozkazujesz? — Zabrział jego gardłowy śmiech jak skrzywienie starego żurawia. — A czym ty jesteś, Bózsó, wobec woli ludu? Ile ci sąsiad zapłacił, że się tak o niego troszczysz? Teraz przychodzi koza do wozu, kiedy czuje swój koniec. No, dobrej nocy! — Znowu roześmiał się nerwowo... — Jutro się okaże, kto silniejszy: rozkaz Pali Bózsó, czy wola ludu? — i zniknął pod ciemnymi konarami drzew.

*

Niebo różowiło się i rosa już opadała, kiedy Kalman poczuł szarpnięcie za ramię.

— Wstawaj Juhasz, dosyć spania. Wstawaj, mamy gości. Sam sekretarz powiatowy przyjechał motorem z miasta, Partia przysłała delegata, żeby obejrzał naszą spółdzielnię. Zaszczyl nie lada. Jeszcze nam się w głowach poprzewraca. Leżysz w tym kożuchu jak ubity dzik. Uroczystość za pasem, a przewodniczący chrapie.

Głos Bózsó wcale nie przypominał wczorajszej kłótni. Tuż za nim stał młodym w lekkim płaszczu i uśmiechnął się pod rzadkim wąsem jakby zapuszczonym dla dodania sobie powagi. Był to Zoltan Szabo, nowy sekretarz powiatowy Partii, niedawno przeniesiony z Północnych Węgier, gdzie pracował jako kierownik propagandy.

tłumaczył Tadeusz Fangrat

Czytaj: 1) Bożo. 2) Szarok. 3) Rakoszi. 4) Nodź — były premier zbiegły zagranicę. 5) Puskaszem.

Na estradzie wyborczej USA

Z podium płynie potok słów wzniosłych, szczytnych, gorących i bezinteresownych zapewnien.

O, bo ten oświadczył w pracy dla ogółu działacz, to prawdziwie swój człowiek jeden z nich, jeden z szeregu, niezliczonego szeregu szarych ludzi Ameryki. Wyczuć to można w mocnym, kordialnym uścisku dłoni, jaki wymienia z każdym z tysiąca zebranych, w serdecznym uśmiechu, w spojrzeniu tak pełnym zrozumienia dla trosk przeciętnego Amerykanina, trosk które z nim razem dzieli. Mówi o sobie i wylaśnia się obraz osobistego życia wielkiego człowieka, obraz drobno-mieszczanśki, wszystkim bliski, codzienny i powszedni, a który przez to właśnie pociąga, wzrusza i dosłownie targa za serce. Jakże on zna te sprawy, drobne i ciężkie kłopoty, sam ich doświadczając, sam się z nimi boryka. Choroba żony — czuwanie u jej łóżka. Trudność mieszkaniowa — wciąż się za mało buduje; a na domiar złego — i wysokie czynsze. Przyszłość dzieci — niepewna i chmurna — groźba wojny... On również ma dzieci, rozumie niepokój milionów rodziców, uczymy wszystko. — A jeśli... jeśli nadejdzie ostateczność, jeśli wróg, co dybie na całość Ameryki, uderzy — tu tony mowy twardej, dźwięczy w nich szorstko stali — ktoś lepiej niż on poprowadzi naród do zbrojnego wysiłku!...

Huczą oklaski, grzmia fanfary orkiestry, salę zalewa powódź kolorowych światel, imię prezydenckiego kandydata jest na wszystkich ustach. Ba, nie tylko na ustach: widnieje na przezroczystych półkach pięknych dziewcząt, na kapeluszach, gorsach i ramionach, monoklach i chusteczkach, na płytach gramofonowych i deskach do prasowania — wszędzie.

Pelen energii, pogodny, natładowany zapasem okolicznościowych zwrotów i anegdot, kandydat na prezydenta przemierza kraj wygłaszając dzień po dniu, rano, w południe i wieczór, niezliczoną ilość przemówień. Publiczność zjawia się tłumnie, nie myśląc o tym, że krasomówcze popisy nie mają wcale znaczenia, że do ich treści żadnej wagi nie można przywiązywać, że ten, kto zasiadzie w Białym Domu, prowadzić będzie politykę ustalana zdala od estrady wyborczej, nie dla ludu i nie przez lud wytknięta Publiczność przychodzi tłumnie zgnęcona tania świetności widowiska, zwerbowana przez machiny partyjne, przychodzi z nauki, spełniając usłowny latami obzadek: a czasem dla znania nainownego pocucia współzawodniczą państwem.

X

Luksusową arterię New Yorku, stynną Fifth Avenue, zalega tłum. Spodem, w zaduchu kolejki podziemnej, płynie jak codziennie miliona fala zmęczonych wytwórców bogactw. Góra, w chłodnych wnętrzach nabyt wytwórnych sklepów, płynie jak o dzień fala milionów beztrojsko wyrzucanych przez garść zjadaczy tych bogactw. Szczęśliwie tysięcy gapiów wypełnia oba chodniki. Środkiem szerokiej jezdni sunie pochód. Toczą się sapiące ciężkie lokomotywy, za nimi długi wąż towarowych wagonów, jest nawet pancernik na kołach, cały blizujący srebrem płyt, cały jeżdżący się armatami — a jedna z nich — prawdziwa, Kolorowe czapczki, barwne parasolki, z okien drapaczy chmur sygnie się deszcz confetti i, starym nowojorskim zwyczajem, stopy podartych na strzępy książek telefonicznych. Karnawał? Nie. Legion Amerykański, faszystowskie zrzeszenie litych wojskowych, odbywa doroczną zjazd. Przedem, wspaniałym kurierskim parowozem jadą: Wielki Marszałek Zjazdu Harold Hains, burmistrz New Yorku — Impellitteri, delegat gubernatora stanowego Curran. Wysiadają przy rogu 42-iej ulicy, zajmują miejsca na honorowej trybunie. Jeden z legionistów w powłóczystej, lecz zwiewnej sukni kobiecej próbuje ucałować burmistrza. Ten się uchyła, a legionista wyciska gorące pocałunki na ustach licznie ustawionych policjantów. Z oguszającym świstem, rykiem, piskiem i skowytaniem dziesięciu tysięcy trąbek, gwizdów, piszczałek, klaskonów oraz dziesiątki gardzieli parady podąża dalej. Na rogu 34-iej ulicy urzawa milkiem przeltnie: Legion „składa hołd” pamięci poległych. Poczem, przy skocznych dźwiękach tuzina orkiestr, z tłumem legionistów miesza się tłum „wesółych przyjaciół” — rozwydrzonych, rozchichotanych. Zabawa. Smutna zabawa w politykę i demokrację.

X

Tłum legionistów wypełnia szczerbie obłamy hali. Na mównicę sam Ike Eisenhower. Ma na sobie strój legionowy, tysiina, w myśl wskazań reporterów telewizyjnych, starannie upudrowana (za nado blizszczała w programie). Cóż powie były dowódca swym byłym podkomendnym, wyrwanym przed chwilą z ulicznego rozpasania i blazystu? Czy im wyjaśni, że ich zdziwienie, bezmyślność zapitych głupców, brak wszelkiego hamulca, to dzieło straszy, który innych nie potrafi już znaleźć obrońców, jak otepiałych trze-

bieńców moralnych, janczarów prowadzonych strachem i histerią?

„Strach i histeria rządzą naszym życiem! Strach i histeria pchają nas w bankructwo moralne i dolarowe!” — mówi słusznie generał Ike — by zaraz potem dać żywy przykład dla swego twierdzenia. Oto czaszą generała pod pudrem zraszą grube krople potu, oto szczęki zwiirają się kurowo, w kącikach zacienionych ust pokazuje się piana, oto głos staje się syczący i chrapliwy. Ike przypomina teraz mopsa w paroksyzmie wściekłości. Domaga się zbrojeń, jeszcze większych zbrojeń, chwycenia za gardło niesformnych satelitów, wola o nowe podboje. Drży na myśl o rosnącej z dniem każdym potęgę socjalizmu. Jeszcze chwila, a ZSRR „prześcignie moc produkcyjną Stanów Zjednoczonych”. Jeszcze chwila — i w samych USA rozpocznie się zmierzch faszystu, któremu Eisenhower przyrzeka dziś wiernie swe służby: „Jakkolwiek przyszłość mnie czeka, łączę się z wami w tej walce”.

Spada maska generała wojsk demokracji szturmujących redutę Hitlera. Pozostaje najemny opryszek monopolu, plugiawiający mundur i pamięć Jerzego Waszyngtona. „Moralność i maniery z rogu ulicy” —



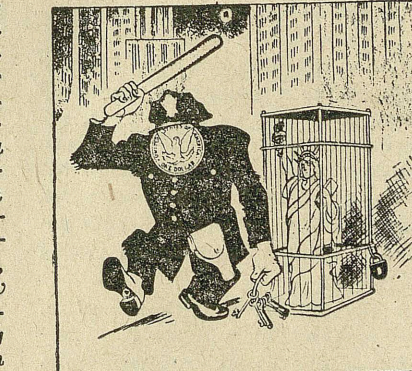
wzdriga się na ten widok nawet wielbiący Amerykę organ angielskich monopolu „Manchester Guardian”. Dziennik wspominał dodać, iż żaden ulicznik nie ubiegał się do tego do godności prezydenta Stanów Zjednoczonych.

X

„Tutaj w Chicago — wola z emfazą reporter wielkiego koncertu radiowego Columbia — na podium, na którym oszacowano i zliczowano miliony najwspanialszych befstyków świata, zostanie wyznaczony przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych. I Demokracja czy Republikański, z tego samego podium wygłosi swą pierwszą mowę kandydata.”

Chicago — największe centrum kolejowe i największa na świecie rzeźnia. Największa drukarnia świata, najstraszliwsza dzielnica nędzy. W tym najbardziej na kuli ziemskiej kryminalnym mieście wychodzi najbardziej reakcyjny dziennik globu — „Chicago Tribune”. Tę właśnie stolicę gangsterów upatrzyły sobie dwie główne partie USA na miejsce konwencji prezydenckich, ogólnopartystycznych zjazdów zwolowanych co czter lata dla obioru przyszłego cektora.

Dziennikarz radiowy nie nie przesadził w swym ujęciu. Dostosował je tylko do powszechnego, ogólnego tonu. Befstyki i prezydenta, nowy film i nowy gatunek papierosów reklamuje się jednakowo. Program polityczny sprzedaje się tak samo, jak nowy przepis trwałej ondulacji. I wart jest tyle samo. W orszaku agitujących za sobą kandydatów spotkamy gwiazdy ekranu i kabaretu, dużo pięknych ciał, a za to mało myśli, kłownów cyrkowych i kowbojów, a nawet kowbojskie konie. Po ostatecznym przyjęciu przez konwencję republikańską kandydatury Eisenhowera, głoszą z wykwintnych manier i opowiadania senator Henry Cabot Lodge młodszy zacząć tańczyć wściekłego dziga i wrzeszczeć wieńboglasy. „Sala sprawiała wrażenie masowego opętania czy jakiejś dzikiej zabawy studenckiej” — mówi oszołomiony wysłannik londyń-



skiego burżuazyjnego dziennika. A jego amerykańscy kolezdy są nie mniej przerażeni.

Korea i Vietnam, Malaje i Filipiny spływają krwią na rozkaz Waszyngtonu. Bomby napalmowe spopielały miasta i wsie, przemieniały ludzi w żywe pochodnie — z rozkazu Waszyngtonu. Czarny mór płynie niebem i ziemią, zatruwa wody — z rozkazu Waszyngtonu. A żniwiarze śmierci, akcjonariusze „wielkiej demokracji” tną hotubce, tańczą dziga, dają w piszczałki, biją w bębny wyborcze chcąc jarmarczonym zgłębkiem ogłuszyć swój naród, piaskiem frazowno zasypać mu oczy, kłamstwem zamulić mózgi, zdławić dojrzejącą świadomość — i dalej nieść żagiew zbrodni.

Zapomina ją, że wrzask zbyt głośny zwykli ludzi budzić.

Julian Stawiński

ZOFIA RZEPLIŃSKA

„Nagroda za dobrą pracę”

Budapeszt, w maju

PIEKNE są góry Bükk otaczające Miskolc, centrum przemysłowe Węgier Ludowych. Oglądałam je w maju, tonęły wówczas w przepychu wielobarwnych kwiatów i zieleni.

W samym sercu pasma Bükk leży węgierska Kryniczka — Lillafüred. Co dwa tygodnie przejeżdża tu świeży turnus wczasowiczów. Na skierowaniu, uprawniającym do korzystania z wczasów, widnieje zawsze napis „Nagroda za dobrą pracę”.

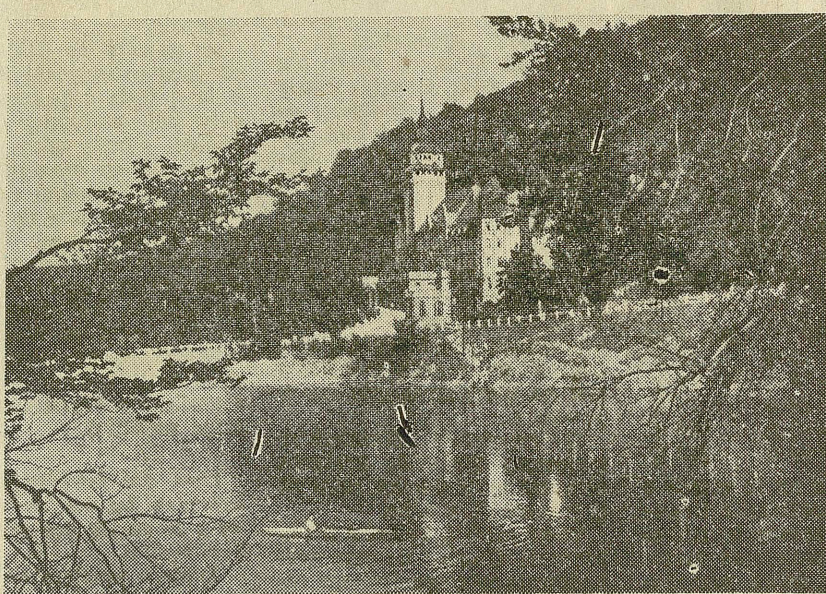
Nad całym Lillafüred góruje gotycki pałac. Z niesłychanym nakładem kosztów i istic feudalną rozrzutnością został budowany w latach 1929 — 1930, przez ówczesnych władców Węgier, w okresie największego kryzysu, okresie głodu, strajków, przepęnlonych robotnikami wiezień, katastrofalnego bezrobocia. Liczba pracujących w przemyśle robotników spadła wtedy z 654 do 390 tys. a wynagrodzenie za godzinę robotników wykwalifikowanych z 81 fillorów do 32 fillorów, robotników zwykłych z 32 do 19 fillorów.

Kryzys nie ograniczył się do przemysłu. Eksport artykułów rolnych spadł o 72 proc. Zarobki robotników rolnych o 61 proc. Tysiące inteligentów wałęsało się beczennie po ulicach. Masy pracujące Węgier nie mogły mieć już żadnej wątpliwości co do kierunku, w jakim prowadził je krwawy reżim faszysty Horthy'ego.

1 sierpnia 1930 roku, obłrzymie tłumy demonstrowały na ulicach przeciwko polityce głodu i terroru. Spotkały je wyciągnięte szable konnych policjantów, wojsko i auta pancerne.

Wyrokiem faszystowskiego trybunału zostali zamordowani dwaj wspaniali bohaterowie przywódcy węgierskiej Partii Komunistycznej Imre Salay i Sandor Fürst. W tym samym okresie, roztańczona, rozbawiona arystokracja węgierska zjeżdżała do nowowbudowanego pałacu w Lillafüred. Pod nim leżała lustrzana tafia legendarnego stawu. A wokół ślany gór Bükk, zwartym pierścieniem zamykał c widokrag, zdawany się stwarzać bezpieczne gniazdko, chroniące przed tym, co nabrzmiewało w Europie. Ale historia nieraz już udowodniła, że ani wyrokami śmierci nie można powstrzymać jej kroku, ani schronić się nigdzie przed dziejów wyrokami.

Kiedy oglądałam pałac w Lillafüred był maj 1952. Właśnie przybywał świeży turnus tych, co od-



bierali „nagrodę za dobrą pracę”, tych, którzy udziałem swoim w sukcesach ludowych Węgier biorą nagrodę za krwawy trud węgierskich bojowników o rewolucję społeczną.

Tam, gdzie od pasma gór Bükk łagodne zbocze doliny Dudujki przechodzi w daleko rozciągającą się płaszczyznę bagien i moczarów, krzyk ptaków wodnych niósł się na całą okolicę jeszcze do niedawna, jeszcze — jak mi mówiono — do maja 1950 r.

Budować wówczas zaczęto uniwersyteckie miasto — dumę węgierskiego Planu 5-letniego, jeden z najnowocześniejszych w Europie

Miskolcki Uniwersytet Techniczny Przemysłu Ciężkiego.

Gdy późną wiosną bieżącego roku oglądałam budynki tej z olbrzymim rozmachem powstającej uczelni, minęło zaledwie dwa lata odkąd pierwsze uderzenia oskarżonych, buldożerów i koparek spłoszyły z trzcin skrzydlatych mieszkańców doliny — a już spełniał się pierwszy etap planu. W pachnących jeszcze świeżą cegłą budynkach uniwersytetu dojrzała już młoda kadra socjalistycznej inteligencji technicznej. Nie było bowiem chwili do stracenia. Kościenie siły państwa demokracji ludowej jest dynamiczny rozwój

Przez serce narodu

(dokończenie ze str. 1)

Polskę uczynić silną jak nigdy w historii. Czy ci wędrujący już przez 8 lat co tygodnia, co miesiąca, czy oni również nie tworzyli ogniu wielkiego Frontu Narodowego? Czy te ognia nie opasały Polski jak długi i szeroki?

Kiedym się znalazł w fabryce Ursusa, objął mnie taki huk, jak w Tatrach podczas haliaka. Ale haliak głużył nasze życie i pustoszy je, ten zaś wydziera z hał fabryki żelazne konie, aby przemienić je w nasze życie na wsi. I inny to haliak — robotniczy! Pytali mnie monterzy traktorów czy nie za gorąco mi w góralskim kożuchu. A pewnie że gorąco. Ale mi się spocił i dlatego, że w sercu poczułem ciepło z radości wielkiej. Widziałem jak robotnicy dumni są z tej pracy, która niesie w kraj dowody sojuszu robotniczo — chłopskiego i umacnia spójnie, umacnia Front Narodowy.

Chłopi, którzy byliście w Warszawie, w sercu naszego narodu, odnowicie ciepło radości, jaką przeżywaście wówczas i wzniesiecie gorącą falę miłości i poparcia dla Programu wyborczego Frontu Narodowego wśród ludzi waszego terenu!

Jacek Michniak

MARIAN ŚWIETLIK i STANISŁAW ŚWIĄTEK

Biedacy, już nie biedni



Foto: J. K. Maciejewski

GDY porównać gospodarke we wsi Prosenie, położonej 10 km od Piotrkowa Trybunalskiego, w woj. łódzkim, przed wojną i dziś, rzuca się w oczy ogromna zmiana*).

Szybkie uprzemysłowienie kraju, wzrost liczby ludności cierpiącej utrzymanie z pracy w zawodach pozarolniczych wywołały ogromny wzrost zapotrzebowania na artykuły rolnicze, wyznaczyły nowe kierunki upraw i hodowli. O ile przed wojną podstawowymi kulturami uprawnymi były tu, w Prosenie — rośliny zbożowe, zajmujące do 70 proc. powierzchni uprawnej oraz ziemniaki i w nieznacznym odsetku rośliny pastewne oraz przemysłowe (te ostatnie uprawiane na własne potrzeby) — to obecnie widać wyraźny spadek obszaru zasiewów zbożowych na korzyść roślin pastewnych i przemysłowych. Zwiększenie obszaru pastewnych to wynik większego zainteresowania rolnika dla hodowli i zmian w kierunkach hodowli. O ile przed wojną przeważało w hodowli bydło nastawienie na „kierunek mięsny” (duża ilość jawniżny), to dziś przeważa „kierunek mleczny” (ogromny wzrost procentowy ilości krów mlecznych). Źródłem mięsa natomiast staje się na omawianej wsi piotrkowski wyrazniej niż przed wojną hodowla trzody. Notujemy bowiem w tej dziedzinie ogromny (o blisko 100 proc.) wzrost hodowli tuczników oraz macior.

Patrz — Część I-sza, „Wies” Nr 35. 1952.

STANISŁAW CIEŚLAK

Siła nabywcza w roku 1951

PRZED wojną w r. 1938 nie liczną góstką kapitalistów miejskich, obywateli, związanych z nimi przedsiębiorcami, tzw. „wolnych zawodów” zagarniała dla siebie ok. 50 proc. dochodów pieniężnych ludności całego kraju, dochody zaś pozostałe robotników i pracowników umysłowych stanowiły zaledwie ok. 40 proc., chłopów zaś tylko ok. 10 proc. pieniężnych dochodów ludności całego kraju.

W tym samym też stosunku kształtowała się i siła nabywcza tych grup ludności kraju i ich udział w zakupach wszelkiego rodzaju towarów na rynku.

W ciągu ostatnich lat władzy zaszyły w tej dziedzinie ogromne przemiany. Nie tylko urosło o 70 proc. cały nasz dochód narodowy, a w związku z tym i ogólna suma pieniężnych dochodów ludności kraju, ale zmienił się całkowicie podział tych dochodów pomiędzy różne grupy ludności. Robotnicy i pracownicy umysłowi dysponują dziś 70 proc. dochodów pieniężnych ludności całego kraju, chłopów — 24 proc., udział zaś innych grup społecznych ograniczony został do 6 proc.

Przed wojną 2700 tys. robotników i pracowników umysłowych nabywało dla siebie i swych rodzin ok. 40 proc., a 3500 tys. właścicieli gospodarstw chłopskich — tylko ok. 10 proc. towarów sprzedanych w kraju, dziś 5,2 milionów robotników i pracowników umysłowych jest w stanie zakupić 70 proc., a 3 miliony właścicieli gospodarstw chłopskich — 24 proc. wszystkich towarów sprzedanych w kraju. Trzeba tu od razu zaznaczyć, że mówimy wyłącznie o pieniężnych dochodach ludności. Oceniając więc stopę życiową wsi należy uwzględnić fakt, że w przeciwieństwie do klasy robotniczej, której dochody pokrywają się w zasadzie z dochodami pieniężnymi, ludność rolnicza posiada jeszcze dochody dodatkowe, zaspakajając się z własnych potrzeb w grupie średniorolnych a także i kulaciach większość swych potrzeb w zakresie żywności z produkcji własnego gospodarstwa, produkcji, która nie przechodzi przez rynek.

Jeśli dodamy do tego fakt, że z całości dochodów pieniężnych ludności kraju 84 proc. wydatkowane zostaje na ubranie i wyżywienie, 5 proc. na komunikację, 4 proc. na czynsze i spłaty komunalne a tylko

Przy ogólnym wzroście wyników rolnictwa a zwłaszcza krów i wagi rzeźnej bydła i trzody, towarowość gospodarstw mała jak i średniorolnych nie wzrosła w tym samym stosunku, głównie z powodu zwiększonej konsumpcji wsi, mającej dziś o wiele większe dochody z zajęć pozarolniczych w porównaniu z przed wojną.

Podobnie jest z produkcją zbożową. Nadwyżki, pozostałe chłopu po wykonaniu obowiązkowych dostaw, idą na własne spożycie i spisanie. Gospodarstwa posiadające nadwyżki zbożu zbywają je bowiem nie w miastach, lecz sąsiednim gospodarstwom na chleb czy na paszę dla bydła i trzody.

Jeśli chodzi o uprawę roślin przemysłowych i innych, to w Prosenie dopiero po wojnie przystąpiono poraz pierwszy do uprawy buraków, pojawiły się konopie przemysłowe, rozszerzył obszar uprawy lnu, pewną rolę zaczynają odgrywać i warzywa.

Podobnie, przemiany zaobserwowaliśmy i w Wysokiej, pow. łanuckiej, w woj. rzeszowskim. Zakontraktowano tu np. w roku 1952 (na 1282 ha ogólnej powierzchni) 57 ha roślin takich jak: buraki, len, koks-sagis, rącznik itp. Charakterystyczne jest, że i tu ogólnemu wzrostowi hodowli (przed wojną np. gosp. od 2 do 5 ha posiadało przeciętnie 1 krowę i 1 cielę i 1 świnie, dziś co najmniej 2 krowy i 2 świnie; gosp. od 2 do 5 ha przed wojną 2 krowy i 2 świnie, dziś co najmniej 3 krowy i 3 świnie itd.) nie towarzyszy odpowiadający mu wzrost towarowości. Spożycie bowiem w omawianej wsi łanuckiej ogromnie wzrosło. Według szacunkowej oceny samych miejscowych chłopów dziś za minimum spożył mięsa przynajmniej: 1 sztukę (od 120 do 150 kg żywej wagi), jedno cielę, kilka lub nawet kilkanaście sztuk drobiu rocznie na jedną rodzinę. W obu wsiach występuje również zjawisko, że znaczna część nadwyżek towarowych wynika się całkowicie spod kontroli państwa, co najmniej bowiem 1/3 produkcji mięsa i niemal cały nabiał trafia na rynek niekontrolowany.

Szybkie uprzemysłowienie kraju zmieniło również do gruntu zapotrzebowanie wsi w środki produkcji. W takiej np. Wysokiej w ciągu wiosny 1952 wysiano ok. 500 q nawozów sztucznych, a więc ilość kilkakrotnie przewyższającą roczne spożycie nawozów tej wsi nawet w latach najlepszej koniunktury przed wojną.

Jeśli chodzi o użycie maszyn, to dzięki istnieniu dobrze wyposażo-

nego Gminnego Ośrodka Maszynowego w Wysokiej już do rzadkości należy sąsiedzkie wypożyczanie maszyn rolniczych. Tym samym poważnej redukcji uległy możliwości wzrostu biedy. Takie prace np. jak młocka są już w Wysokiej niemal w całości zmechanizowane.

Podobne zjawisko wyraźnie występuje i na omawianej wsi piotrkowskiej. Kreślony przez nas obraz byłby niepełny, gdybyśmy pominęli sprawę elektryfikacji (energia i światło) oraz radiofonizacji wsi. Nie trzeba chyba dodawać jak ogromne perspektywy podniesienia produkcji rolnej, dodatkowych zajęć, podniesienia stopnia oświaty i kultury otworzyły się w takiej np. Wysokiej z chwilą pełnej jej elektryfikacji i radiofonizacji w grudniu ubiegłego roku.

Dlatego używając słowa „biedota” w odniesieniu do mieszkańców wsi Prosenie czy Wysoka, nie można ich używać w sensie przedwojennym.

Dawna biedota, stanowiąca niegdyś ogromną większość ludności omawianych wsi dzięki dodatkowym dochodom z przemysłu, uzyskiwanym bezpośrednio (zatrudnienie) lub pośrednio (rozszerzenie rynku zbytu na bardziej rentowne produkty roślinne i hodowlane) żyje dziś co najmniej na poziomie przedwojennego zamożnego średniaka. Na wsi piotrkowskiej, termin „biedota wiejska” w dawnym tego słowa znaczeniu, możemy odnieść tylko do jednej rodziny spośród 19 z 1939 r. Jest to rodzina zarabkująca jeszcze u kulaka. A zdarza się coraz częściej, że dawne rodziny biedniackie, szczególnie te, których członkowie pracują w sektorze socjalistycznym, znacznie przewyższają swoim dostatkami gospodarstwa średniackie. Wyrazem tego jest fakt, że stają się one źródłem kredytu sąsiedzkiego dla gospodarstw średniackich. O wzrastającej stopie życiowej tych niegdyś biedniackich wsi świadczy również chociażby takie fakty jak: rosnące stale na wsi łanuckiej obroty dwóch filii GS „Samopomoc Chłopska” (wzrost ze 112.000 zł w I kwartale 1951 r. do 142.000 zł w I kwartale 1952 r.), jak spożycie kukurydzy przeciętnie około 19 kg na głowę ludności, posiadanie np. 12 radioodbiorników lampowych, jak prenumerata jednego z dwóch czasopism przeciętnie na rodzinę. Wydatny wzrost zaopatrzenia w artykuły przemysłowe notuje się również na wsi piotrkowskiej i dotyczy zwłaszcza ostatnich roku.

Marian Świetlik i Stanisław Świątek



Foto E. Gołowski

7 proc. na inne wydatki (łącznie z kulturalnymi), jeśli przypominamy sobie jak ogromne sumy wydatkowały przed wojną malarolna ludność wsi a częściowo i miast na inne cele, dziś w całości niemal pokrywane przez państwo — to ta analiza rzuca dostatecznie chyba wymowne światło na obecną sytuację na rynku i rosnące zapotrzebowanie na artykuły konsumpcyjne, które znikają tak szybko ze sklepów, mimo, że i żywności i przemysłowych artykułów konsumpcyjnych sprzedaje się dziś w miastach i na wsi znacznie więcej niż przed wojną. Ciekawe światło na wysokość pieniężnych dochodów ludności i na ich źródło rzuca również ich analiza terytorialna.

Wyższe bowiem od przeciętnych dla całego kraju dochody pieniężne i siłę nabywczą wykazuje dziś ludność Warszawy i Łodzi — głównie z powodu zwiększonych możliwości zarabkowania kilku osób w rodzinie, oraz z województwa katowickiego, gdańskiego, szczecińskiego i wrocławskiego, a więc województw najbardziej uprzemysłowionych.

Ludność woj. krakowskiego i rzeszowskiego, przed wojną (przeciętnie) jedna z najuboższych w kraju, dziś na skutek forsownego uprzemysławiania tych obszarów w okresie Planu 6-letniego osiąga już dochody pieniężne i siłę nabywczą tylko o 20 proc. niższą od przeciętnej w kraju.

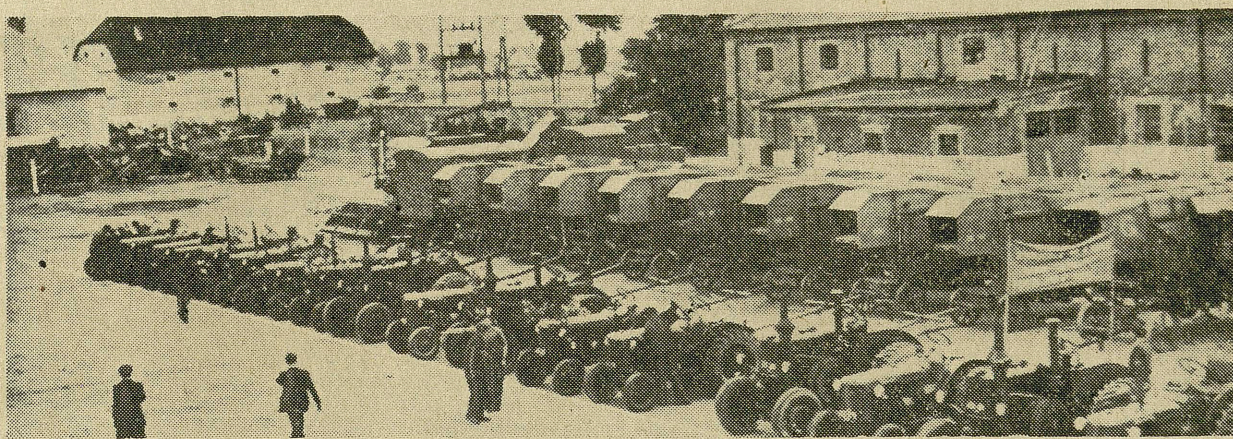
Woj. poznańskie, przed wojną jedno z najzamożniejszych, dziś wraz z woj. zielonogórskim ma siłę

nabywczą równą przeciętnej dla całego kraju, dało się bowiem znacznie wyprzedzić pod względem rozwoju przemysłu, głównego źródła zamożności kraju, województwem północnym i południowym.

Niższe od przeciętnych dochody pieniężne uzyskuje wciąż jeszcze ludność woj. białostockiego, warszawskiego, kieleckiego i lubelskiego, bo ich struktura zawodowa i procent zatrudnionych w zawodach pozarolniczych daleko jeszcze odbiegają w dół od przeciętnej dla całego kraju.

Analiza pieniężnych dochodów ludności rzuca również ciekawe światło na ogromne rezerwy istniejące w naszym rolnictwie. Spośród ludności ścisł. rolniczej, nie zarabiającej dodatkowo w zawodach pozarolniczych, najwyższe dochody pieniężne ze swej gospodarki uzyskuje dziś chłop woj. bydgoskiego, poznańskiego i gdańskiego, znacznie niższe od średnich wykazują chłop woj. warszawskiego, białostockiego i lubelskiego. Jeśli chodzi np. o wartość gleb, to woj. lubelskie niewątpliwie góruje nad województwem poznańskim, a mimo to różnica między dochodowością tej samej wielkości gospodarstwa w woj. lubelskim i poznańskim jest prawie dwukrotna. Świadczy to o wyjątkowo, że nie samą glebą, ale wyposażeniem technicznym gospodarstwa i jakością pracy gospodarującej go decyduje o wynikach produkcji rolnej i o dochodowości rolnictwa.

Stanisław Cieślak



Fo. o. CAF

ALEKSANDER KUCIEL

W trzech powiatach trzecia jesień...

NASZ POM — Bestwina pow. Bielsko powstał 15 lipca 1950 roku. Przed młodą niedoświadczoną załogą stanęło z miejsca odpowiedzialne zadanie — mieliśmy bowiem obsłużyć maszynami trzy wcale nie małe powiaty — Żywiec, Oświęcim i Bielsko. Wokół nas jak okiem sięgnąć ziemia pagórkowata, miejscami nawet górzysta, gleba żwiłwa, trudna do przeorańa zwłaszcza w okresach suszy. Nie baliśmy się jednak przyrody, chociaż myśleliśmy z niepokojem o wielkich, kilkudziesięciokilometrowych przestrzeniach, jakie wypadało przemierzać w okresach siewów i zbiorów, przygotowując się jednak głównie na spotkanie z wrogiem klasowym. Trzeba bowiem wiedzieć, że nie brak na naszym terenie żrących kulaków, skupionych głównie w takich gromadach powiatu bielskiego jak Bestwina, Czechowice, Zabrzek i Międzyrzecze. Jaką wobec nas zastósują taktykę? — nad tym pytaniem zastanawiał się nasz Wydział Polityczny.

Nasz tabor maszynowy był początkowo bardzo szczupły — 15 traktorów i niewielka liczba maszyn towarzyszących — na trzy powiaty. Nikłych doświadczeń załogi nie mogły wyrównać dobre chęci. Trudności pogłębiał jeszcze jeden fakt — nie mieliśmy warsztatów remontowych, brakowało nawet zwykłej szopy, pod którą można by schować maszyny przed deszczem, nie mówiąc już o jakimś takim dachu nad głową dla ludzi. Na siedzibę wyznaczono nam zabudowania dworskie po rozparcelowanym folwarku arcyskiele Habsburga. Wszystko, dosłownie wszystko, zastaliśmy zniszczone, dachy przeciekały, ściany popękane, w oknach i drzwiach brakowało futryn, wydawało się, że silniejszy wiatr rozpylił te żalonne resztki w proch.

Różne i nieraz bardzo na oko skromne bywają początki dzieł instytucji, zakładanych przez rząd ludowy na wsiach. W różny sposób zaprawiają się ludzie do stojących przed nimi zadań. Nie na szerokiej polach spółdzielczych, ani na chłopskich skrawkach ziemi zdobyliśmy pierwsze ostrogi. Nim nasza załoga dosiadła traktorów i przeorała setki i tysiące hektarów, dokonaliśmy pierw gruntownego remontu siedziby POM-u. Nie mogliśmy przyjąć oferty Państwowego Przedsiębiorstwa Budowlanego, gdyż obiecywano nam ukończenie robót dopiero na połowę wiosny 1951 roku. Byliśmy gotowi, pracując we własnym zakresie, jeszcze przed zimą 1950 roku. W ten sposób uzciliśmy 33 rocznice Rewolucji Październikowej. Zamiast 24 milionów złotych wydaliśmy 470 tys. zł, licząc w starej walucie. A co niemniej ważne — ludzie, nasi młodzi ludzie, przeszli twardą szkołę, w której uczyli się odpowiedzialności za powierzony im odcinek pracy, uczyli się skraćć miesiąc do tygodnia, a nawet dni. Równocześnie jeszcze przed zimą część załogi „zdobywała” pierwsze doświadczenia produkcyjne. Zdoganowani powodzeniem prac remontowych nasi traktorzyści zdobyli serca spółdzielców z Dankowic, Wilamowic, Hałanowa, Krakowa, Starej i Nowej Wsi. W tej atmosferze wielkiego wysiłku wyrosli szybko pierwsi przodownicy. Oto nasza duma — traktorzysta Łysek Józef, wyrabiający już wtedy przeciętnie 130 proc. normy, oszczędzający 2 kg paliwa na 1 ha orki średniej, a za nim Pamił Stanisław, Zemonek Alojzy — brzydalata, który wyszkolił na świetnych traktorzystów dwóch swoich braci — Karola i Adolfa. Pokazał co potrafi i Dudys Michał — dyspozytor, dobry organizator, nieustraszone w agiotowaniu chłopów za traktorową gospodarką. Ale poważniejsze osiągnięcia przysły w roku następnym wraz z koniecznością rozwiązania nowych trudności, jakich nam nasz dalszy rozwój nie szczędził.

✱

Ledwo wiosenne słońce stopiło śniegi i wyschła ziemia, spadły na nas kłopoty i to w części takie, których nie przewidzieliśmy. Zaskoczyliśmy się pierwszymi sukcesami nielicznych produkcyjnych traktorzystów, podczas gdy w swej masie załoga pozostawała nadal bez dostatecznych doświadczeń. Nasi traktorzyści byli zupełnie nieobeznani z maszynami rolniczymi, nie umieli stosować głębokości orki zależnie od gleby. Przyroda okazała się w tych stronach groźniejsza, niż nam się wydawało. Zbita ziemia nie ustępowała, trzeba było nieraz powtarzać orki. Radosny fakt przybywania nowych maszyn i ludzi wiosną 1951 roku zmusił nas do zwrócenia bacniejszej uwagi na szkolenie naszych Kadr. A przed nami ziemie dziesięciu spółdzielni produkcyjnych! I spółdzielcy nie posiadali jeszcze należytego doświadczenia w gospodarowaniu po nowemu. Pokrajali swoje ziemie na małe kawałki, że przypominała chłopskie indywidualne poletka. Wychozili na nie nieregularnie, szwankowała jeszcze dyscyplina pracy, trudno było mówić o socjalistycznej moralności. W tych warunkach naszego zetknięcia się z powiatami — żaden traktorzysta nie wykonywał dziennej normy na swój ciągnik.

Aż do zimy trwała uporczywa walka o podniesienie kwalifikacji naszej załogi. Trzeba z dumą powiedzieć, że wysiłki Wydziału Politycznego dały szybkie i pomysłne wyniki. Praca uświadamiająca, popularyzowanie osiągnięć produkcyjnych traktorzystów — braci Zemanków, Łyska, Pamił, drogą narad, dyskusji, poprzez „Błyskawice” i gazetki ścienne, dokładne analizowanie osiągnięć i niedomagań każdego poszczególnego traktorzysty, ogłaszanie wyników na tablicy współzawodnictwa, pobudziły ambicje załogi. Rozkwitło współzawodnictwo, rosło poczucie obowiązkowości, wyrabiał się socjalistyczny stosunek do pracy.

Przy tej okazji odsoniła się klasowa problematyka wewnątrz POM-u. Starszy agronom Chodowski Rudolf rozświecał pośród członków załogi plotki, jakoby Wydział Polityczny „usiłował wypruć z człowieka ostatnie żyły, wprowadzał bałagan przez to współzawodnictwo”. No cóż, pojawił się wróg. Zdemaskowaliśmy go na zebraniu podstawowej organizacji partyjnej, wydalili z pracy i partii. Niestety liberalny w doborze kadr Wydział Rolnictwa i Leśnictwa przy PRN w Oświęcimiu przyjął go do pracy na tym samym terenie.

Nasi traktorzyści poznali dobrze technikę prowadzenia maszyn, radzili sobie z mniejszymi awariami w polu, budując swoją sprawnością podziw chłopów. Ale chłop indywidualni i spółdzielcy złościli nam nieraz i tego wymyślali w czasie zniw z innego powodu. Oto snopowiązałki psuły się z niewiadomych — jak się nam zdawało — przyczyn. Skosił hektar, stanął i dalej ani rusz. Odkryliśmy stosunkowo łatwo przyczynę tych nowych trudności, ale ich przezwyciężenie wymagało czasu. Sprawa prosta jak drut — nasi chłopcy, niezli mechanicy traktorów, pojęcia często nie mieli o mechanizmie snopowiązałki. Wystarczyło

zatem byle głupstwo, aby chłopak rozłożył beznadziejnie ręce, czekając na mechanika odległego o kilkanaście kilometrów. Należało szybko zwiększyć poziom kwalifikacji załogi, powiększyć go o nową specjalność, gdyż inaczej trudno było liczyć na to, że jeden jedyny mechanik — **Lechowski Franek** da radę z reperacją maszyn. Dzielną ten młodzieńowiec wspólnie z dyrektorem POM-u **Prokopiem**, tokarzem **Wójcikiem Antonim** i zetempowcem — **Koźmicelem Stefanem** — nie spał po nocach, nieustannie doglądając sprzętu zniwionego. Miotali się po gminach, przerzucali błyskawicznie z powiatu na powiat, gnani poczuciem odpowiedzialności za wykonanie planu, porywając za sobą całą młodą załogę. W zimie założyliśmy swego rodzaju szkołę. Najbardziej obnażonymi ze zniwiankami i snopowiązałkami prowadzili wykłady, wspólnie z resztą dokonywali remontów. Dziś prawie wszyscy dadzą sobie radę z ewentualnymi awariami, jeżeli maszyna poważnie nie „zachoruje” i nie będzie trzeba oddać jej na „kurację” do warsztatu.

A oto nasz roczny bilans. Kreślę go trochę wzruszonym, pamiętam bowiem, jakby to było dzisiaj, owe trudności, pamiętam ambitne, zapalone do pracy twarze współtowarzyszy pracy. W drugim półroczu większą część traktorzystów przekraczała już normy. Siewy wiosenne i jesienne oraz zniwa zostały wykonane zgodnie z planem. Jeszcze wiosną zdołaliśmy obrobić tylko 600 ha ziemi, należącej do 7-miu spółdzielni produkcyjnych. Na pola indywidualnie gospodarujących nie zdołaliśmy wyjechać. Jesienią zorałymi już około 1000 ha ziemi indywidualnych chłopów! I pomogliśmy już wszystkim spółdzielcom produkcyjnym, których liczba wynosiła podówczas — 10.

✱

Tego roku stanęliśmy przed najtrudniejszymi problemami do rozwiązania. Dysponujemy już zaprawianą załogą, posiadamy pokątną liczbę traktorów, mamy ich bowiem 26, odpowiednią ilość pługów, bron, kultywatorów, 24 snopowiązałki, 3 doskonałe, budzące ogólny podziw, koparki radzieckie i tyleż sadzarek, oraz sporo innego drobnego sprzętu. Możemy nim śmiało obsłużyć co najmniej 2.000 ha!

Ale też z całą ostrością wystąpiły specyficzne cechy obsługiwanych przez nas powiatów, zastrzyła się jak nigdy walka klasowa. Idą przez nasze strony zasadnicze przemiany, rosną nowe spółdzielnie produkcyjne. Sporo chłopów było w kolechach Związku Radzieckiego, zwiędziało dobre, okrzepłe już kolektyw w naszych stronach. Wspólne narady, odbywane w powiatach i gminach, stworzyły warunki na powstanie komitetów, założeńskich. Na krótkiej przestrzeni czasu od maja do sierpnia br. powstały w powiecie bielskim 2 spółdzielnie produkcyjne w Jasienicy i Starym Bielsku, a komitety założeńskie w gromadach — Bieży, Międzyrzecze Dolne i Mażanowice. W powiecie Oświęcim powstały 4 nowe spółdzielnie w Pisarzowicach, Hecmarowicach, Hermeży i Polance Wielkiej. Rosną te spółdzielnie w ciężkiej walce klasowej z mieszczańskim kulactwem, które, kiedy już kiedy, ale tego roku pokazało co potrafi.

Bogacie uprawiając w naszych stronach spekulację i wyzysk na wielką skalę. Wykorzystują bliskość przemysłowego Bielska, gdzie paskują na czarnym rynku, pociągając możliwościami łatwego zarobku wielu niezdecydowanych średniaków. Oczywiście fakt powstania spółdzielni produkcyjnej na przedmieściu Bielska znacznie im utrudnia przedostanie się na czarny rynek miasta, mimo tego ofensywa kulacka, obliczona na załamanie socjalistycznego handlu, trwa z całą siłą.

Wystąpiło do otwartej walki również i przeciwko nam. Posiadają dużą liczbę maszyn rolniczych, ale kiedy nie było naszego POM-u, nie wiele się tu wiedziało o kulackich maszynach, tak je zresztą przed spiskiem ukryli. Dopiero teraz pojawiły się w gromadach jak grzyby do deszczu. Wróg nie liczy się z kosztami, remontuje żniwiarki i snopowiązałki, by je następnie rzucić do walki przeciwko nam.

Dwoimy się na polach a wieczorami prowadzimy akcje polityczne we wszystkich trzech powiatach. Do pomogliśmy spółdzielcom z Kaniowa, pow. Bielski, przy zorganizowaniu współzawodnictwa. Dziś walczą i współzawodniczą o wyższą wydajność z ha wszystkie kolektywy. Kaniowianie premiuja swoich producentów pracy w ten sposób, że doliczają im odpowiednią ilość dniówek obrachunkowych. Nasz Wydział Polityczny, wspólnie z Komitetem Powiatowym Partii pomógł w przeprowadzeniu nowych wyborów do zarządów spółdzielni w Holmowie i Wilamowicach pow. Oświęcim. Pierwsza z nich usunęła radykalnie bumelantów, którzy wracając obecnie zapewniając, że będą rzetelnie pracowali. W drugiej nowy energiczny zarząd doprowadził do tego, że wspólnym wysiłkiem wybudowali spółdzielcy nowe stodoły i obory. Pod naszą opieką kwitnie imponujące Kaniów. Niech was te cyfry nie nudzą, mówią bowiem o naprawdę szybkim rozwoju kolektywu, podziwianym przez okolicznych chłopów. 40-tu ludzi posiada na 96 ha ziemi — 35 sztuk bydła (na początku — 6), 45 sztuk trzody chlewnej (nie było ani jednej w chwili powstania spółdzielni). Powstała „kurza ferma”, przybywa uhl, zakończono zarybianie 3 stawów. Radują oczy naszych traktorzystów dorodne zboża, cieszy fakt, że rzepak daje 19 q z ha.

Zbieramy właśnie plony naszej pracy nad spółdzielniami produkcyjnymi. Rudzica, przed wszystkimi gromadami oddała pierwszą zboże państwu i to w 150 proc., za nią — Kaniów, pociągając za sobą resztę chłopów. W chwili, gdy kreślę, być może niewprawnie, dzieje naszego POM-u, wszystkie kolektywy wykonały plan dostaw zboża dla państwa.

Przybywają do nas młodzi spółdzielcy, uczą się na traktorzystów lub mechaników i już pozostają. Fakty nie bez znaczenia, bowiem nie zapominają o macierzystych, socjalistycznych już wsiach. Oto nie dalej jak przed kilku dniami, brat Zemanków, pochodzący ze spółdzielni produkcyjnej w Dańkowicach zobowiązał się, iż dołoży wszelkich starań, by „ich” kolektyw podniósł wydajność z ha o 2 q w stosunku do roku ubiegłego.

Alle postawiony na początku problem nie został rozwiązany. Przybyło 6 nowych spółdzielni, z komitetów założycielskich wyłoni się jeszcze kilka tego roku. Obejmują one obszar około 2.000 ha, a więc akurat tyle ile możemy obrobić. Czy wyjedziemy jesienią na pola chłopów indywidualnych, wyciekających przecież na nasze maszyny? Jak tę sprzeczność rozwiązać? Usłyszcie jeszcze o tym od nas.

Aleksander Kuciel

WITOLD BILLIP

Kronika z lat walki

MARCOWA nocą 1935 roku maszerowała w stronę więzienia w Łomży grupa więźniów. Byli wśród nich starzy poopieczni sanacyjnej „sprawiedliwości”, byli i nowoaresztowani. Ślaski robotnik Górniak, nieraz już miał do czynienia z policją, dziecko łódzkiego proletariatu, Witek, jako czternastoletni chłopak przeżył swą pierwszą „wypę”, student Antoni od niedawna dopiero utracił wolność. Wszyscy oni wiedzieli, że w łomżyńskim więzieniu karnym działa Komuna, wszyscy za pierwsze swe zadanie uważali nawiązanie z nią kontaktu.

Nie zawiedli się. Przeciw tchórzliwym i nie-

wyszukanym intrzygom naczelnika więzienia, Szumskiego, przeciw wsieciści wyznaczonego „klawisz”, przeciw „nauczycielom” metodom absolutistów szkoły policyjnej walczą z warty, świadomy swych zadań kolektyw.

„Nout” szybko włączył się w pracę Komuny. Dzieje tej trudnej, odpowiedzialnej pracy i walki na przestrzeni dwóch długich więziennych miesięcy to treść nowej książki Leona Pasternaka.

Trzeba zacząć od pochwał. Wydaje się, że niezwykle prostymi środkami udało się autorowi osiągnąć najwłaściwszą — wskrzesić zagęszczoną atmosferę lat wojennych faszyzacji Polski, ukazać zatrutych tą atmosferą służalców reżimu i przeciwstawić im zespół pięknych, silnych mocą rewolucyjnej idei ludzi — komunistów. Udało mu się rzutować losy więziennej Komuny na tło życia prowincjonalnego miasta, pokazać solidarną walkę proletariatu i parafian — karłowatych politykierów łomżyńskich dygnitarzy.

W ten sposób mała Łomża, której życiu politycznemu nadaje ton rozporządzająca nader skromnymi środkami działająca więzienna organizacja robotnicza, stała się polem do ukazania typowego rozkładu sił i typowych procesów walki klasowej w społeczeństwie kapitalistycznym. Te typowe przedstawienia zjawisk stwierdzać możemy nie tylko przez odwołanie się do naszej pozaliterackiej wiedzy o epoce. Autor w samym materiale powieściowym zawarł szereg celowo nagromadzonych dowodów, świadczących, że opisane w jego książce wypadki nie były w sanacyjnej Polsce czymś wyjątkowym, że — przeciwnie — traktować je należy jako artystyczne uogólnienie zjawisk dla faszystowskich rządów symptomatycznych.

I tak np. dowiadujemy się, że władze centralne są niezadowolone z nazbyt, ich zdaniem, powolnego wprowadzania w życie w katowni łomżyńskiej nowego regulaminu, likwidującego wszystkie prawa więźniów politycznych, że są niezadowolone z nadmiernej regularności, w której więźniowie, które ten regulamin już zdobyli wprowadzić. A więc bywało jeszcze gorzej! Poznajemy świetnie kilkoma rysami nakreślona sylwetkę dyrektora departamentu więziennictwa z Warszawy, ograniczonego, tepego, a jakże podłego stupajki. A więc tacy ludzie decydowali o losie więźniów! Czytamy o ustrępnym wycieczkach aspiranta Knora, inteligentnego, pojętnego ucznia szkoły policyjnej. A więc tak wyglądał ideał burżuazyjnego „stróża porządku”!

Obrazu dopełniają napół publicystyczne komentarze autorskie, dalekie od gąsieniczej łatwizny, uderzające sumienną, gruntowną, bo i na własnym doświadczeniu opartą znajomością przedmiotu. Spójne z materiałem książki tym samym tonem ideowym, jasnym językiem beznamietnej pozornie relacji, znakomicie uzupełniają wymowę powieści, nie obniżając jednocześnie jej wartości jako dzieła sztuki.

Trudno w tym miejscu nie skorzystać z najprzejmniejszego bodaj obowiązku recenzenta: wskazywania szczególnie mocnych, napełnionych straszakami w sobie zalety prozy Pasternaka fragmentów książki. Należy tu niewątpliwie obraz sparaliżowanego Żyda — samuka Werby i jego ucznia i opiekuna — wiejskiego osiłka Sosny. Podziw i szacunek wywołuje scena, gdy naczelnik Komuny Bratkowski, jeszcze przed chwilą gotów przyjąć z pomocą choremu towarzyszowi, odwraca się od niego bezlitośnie, gdy dowiaduje się, że ma do czynienia ze zdrajcą. Dobra jest także końcówka partii książki: wielki „raban” w więzieniu raz jeszcze wskazuje na siłę Komuny i raz jeszcze przedstawia grupę i tchórzliwą bezradność władz z owym słowem dyrektorem departamentu, tak śmiało rozwiązującym przez międzymiastowy telefon wszystkie drażliwe kwestie na czele.

Zatrzymać się jeszcze trzeba nad centralną chyba przy ocenie książki Pasternaka kwestią: nad sprawą poetyki „Komuny”. Ze problem to trudny, świadczy najlepiej uwagi recenzenta „Nowej Kultury”, Henryka Berezę**). Uwagi ciekawe, choć fragmentaryczne i choć nie w całej pełni wypadnie się z nimi zgodzić.

Stwierdziwszy, że poza naczelnikiem Szumskim brak w omawianej książce postaci potraktyowanych epicko, wskazuje recenzent jako przyczynę tego stanu rzeczy stosunek autora do omawianych ludzi. Stosunek liryczny, którego „interesu” przede wszystkim piękno lub szpetota przedstawienia postawy bohatera”, co zdaniem Berezę prowadzi do ukazania ludzi poprzez ich poszczególne zachowania i a nie w epickich, przynajmniej — skutkowych powiązaniach. Wyjaśnienie to, acz efektowne i niezupełnie pozbawione racji, pozostawia jednak poważne wątpliwości. Dlaczego właśnie tylko Szumski doczekał się pełnego, epickiego wizerunku? Dlaczego nie przeciwstawiono mu bohatera pozytywnego spośród więźniów lub walczących na wolności towarzyszy? Berezę znajduje tu wyjście: przeciwstawiał stanowisko Komuna jako całość. Sek w tym, że krytykowi wydaje się, iż rozwiązał problem. Nic podobnego! On go dopiero postawił, i to niezupełnie prawidłowo.

Bo jeśli przyjmujemy koncepcję Berezę, niejako pozostawia ona nas fakt, w jaki sposób przez ukazanie szeregu lirycznych migawek stworzyć można epickiego, choćby „zbiorowego”, bohatera. No i w tym nie ma omyłki, tak jak — na dobrą sprawę — wymknęła się ona Berezę.

Wydaje się, że źródło koncepcji książki szukać należy gdzieś indziej. Po pierwsze byłoby to tradycja międzywojennej „powieści proletariackiej”, żeby wspomnieć choćby „Ziemię w jarzmie” Wasilewskiej z jej rezygnacją z bohatera jednostkowego i idea gromady jako bohatera. Realizacja tej idei wyglądała w praktyce tak, że „technika zbliżeń filmowych” (zwrót Berezę) ukazywał ałbion szeregi postaci, z których każda reprezentowała miała jakąś charakterystyczną dla gromady jako całości cechę psychiczną, a wszystkie razem tworzyły „psychikę zbiorową” grupy, ukazując miały jej oblicze moralne i jej dążenia. Metoda ta, choć dawała czasem, jak w przytaczanej książce Wasilewskiej, poważne rezultaty, miała zasadniczy mankament: żaden „zbiorowy bohater” nie zastąpił bohatera jednostkowego, bo nigdy wiedza o typowym dla jakiejś warstwy zespole cech psychicznych nie zastąpi

nam wiedzy o indywidualnej psychice poszczególnych ludzi. „Powieść proletariacka” nie stworzyła bohatera pozytywnego. Nie stworzył go również Pasternak.

Jednak, aby uniknąć zbyt pochopnej oceny, rozważyć musimy następne zagadnienie. Sygnalizowałem już, że „Komuna miasta Łomży” nie jest, ściśle rzecz biorąc, powieścią, utworem epickim. Tu trzeba by wskazać na to, co Berezę nazwał punktem widzenia lirycznym, a w czym ja skłonny byłbym raczej upatrywać stanowisko k r o n i k a r z a. Pasternak opisuje swe postacie nie tylko migawkowo, ale z pozycji zewnętrznego obserwatora, nieujawnionego w szczególności życia psychicznego przedstawianych ludzi, zmuszonego sądzić ich jedynie po zewnętrznych wystąpieniach. „Komuna miasta Łomży” to przede wszystkim kronika z lat walki, to surowo, bez upiększeń opowiedziane wszystko, co o łomżyńskiej Komunie obiektywnie wiadomo. Autor świadomie zdaje się stwarzać wrażenie wyeliminowania fikcji literackiej, przedstawienia surowej rzeczywistości w całej jej grozie.

Czy wobec takich założeń brak szeroko psychicznie podbudowanej postaci p o w i e ś c i o w e g o bohatera pozytywnego jest rzeczywistym brakiem? Powiódźmy jasno. Gdyby Pasternak umiał utrzymać się konsekwentnie na wskazanej wyżej linii kronikarskiej opowieści, zarzut miałby poważną wagę: dotycząc utworów innego gatunku nie dałby się zastosować do omawianej książki. Jednakże koncepcja „Komuny” zalamuje się wyraźnie przy potraktowaniu postaci Szumskiego. Wspomniałem już, że naczelnik więzienia doczekał się pełnej, uniwersalnej charakterystyki. Charakterystyka to sama dla siebie zupełnie dobra: jak na dion widzi sylwetkę zapobiegliwego mieszcza, który dorabia się w łomżyńskim zakładzie akuracji w więzieniu. Równie dobrze i z równym zapalem robiłby to handlarz bydłem lub spekulując na giełdzie. Nie o jakąś ideę mu chodzi, ale o karierę, a ściślej o związane z nią korzyści materialne. Tępowo jest przy tym i bardzo boi się żony. Idealne narzędzie do najbliższych zadań. Powtarzam: sylwetka bardzo datna. Lecz w tej formie wyraźnie w książce razi. Autor niepotrzebnie chciał upiec przy jednym ogniu dwie pieczenie. Nie można jednocześnie pisać k r o n i k i o więziennej Komunie i p o w i e ś c i o naczelniku więzienia. Nie występuje tu w obronie jakiejś abstrakcyjnej „czystości gatunku”, bronię jednolitości postaci, wy poznawczej w ramach dzieła. A mam prawo czynić to dlatego, że w przypadku „Komuny” stosowanie przy przedstawianiu walki dwóch obozów dwóch różnych punktów widzenia doprowadza do pewnego zamęcenia słusznymi proporcjami ideowymi tej skądinąd tak klarownej i celnej politycznie książki.

Język Pasternaka bardzo prosty, dobrze przystosowany do kronikarskiego charakteru narracji i prawdopodobnie brzmiący w ustach postaci. Autor szczęśliwie przeważnie omija mizerny, który napotyka się przy obfitym wprowadzaniu leksyki specjalnej, w tym wypadku dialektu więźniów i specyficznego słownictwa organizacji rewolucyjnej.

W sumie książka dobra. Dobra przede wszystkim dlatego, że rzetelnie prawdziwa. A to chyba największa pochwała, jaką można wystawić kronice.

Witold Billip

*) Leon Pasternak Komuna miasta Łomży. Warszawa 1952. Wyd. MON, str. 223, 1 nłb.
**) H. Berezę. Mobilizując dokument walki. Nowa Kultura nr 32 (124), s. 5.

RYSZARD HŁADKO

TREŚĆ PIERWSZYCH DNI

P I E R W S Z E d n i *) o tytule ambity. Pisarz sygnalizuje, że pragnie zobrazować pasjonujący okres kształtowania się młodego Państwa Ludowego, krzepnięcia sprawiedliwego ludu na załadowe wydatki wojny terenach naszego kraju. Książka jedna zamiast problemu, daje ciekawostkę. Opowiada o historii wytopienia podczas podróży transportu osiedleńców dwóch zbrodniarzy niemieckich, których poznał jeden z kolejarzy obsługujących pociąg.

Już samo nazkirowanie tematu opowiadania pozwala zauważyć jego braki. Czyżby walka z niedobitkami hitlerystami była zasadniczą treścią życia Polski Ludowej w maju 1945 roku? Podobne pytanie nie miałoby miejsca, gdyby pisarz cały swój utwór nie poświęcił tylko i wyłącznie tej sprawie.

Dwudniowa podróż osiedleńców na Ziemię Odzyskaną w maju 1945, występ byłego kuglarza z cyrku Staniewskich na dworcu, rozmowy konduktorów z pasażerami, czy wreszcie tragiczny wypadek z podróży, który spada z dachu pociągu — wszystkie te szczegóły nie mogą stanowić właściwego tła dla sprawy pogoni za zbrodniarzami wojennymi. Nie istnieje bowiem pomiędzy nimi żadna konstrukcyjna więź. Pełnią one samodzielnie rolę odrębnych wątków, z których najważniejszym jest sprawa kontaktów obsługi pociągu z pasażerami.

*) Marian Ruth-Buczkowski: „Pierwsze dni” PIW. 1952.

Transport, o którym pisze Buczkowski, był jednym z pierwszych transportów osiedleńców, który miały w wyniku Uchwały Poczdamskiej wziąć w posiadanie naszą historię. Również dzięki tej podróży (niepodważalną pomoc Chmielarskiego) uchodził cało z rąk innego gestapowca — chyba tylko po to, aby autor mógł jeszcze przez kilkadziesiąt stron powtórzyć się ciępliwością czytelnika.

Najwięcej i nieprzekonywujące są kryteria indywidualizacji psychologicznej i ideologicznej postaci. Pozytywny bohaterowie w ślad za dyżurnym ruchem w Ostrowiu wygłaszają takie oto patetyczne i nieudolnie sformułowane mowy: „Tworzy się nowa forma życia, staje się na naszych oczach wielki fakt historii. Musimy się skupić nad wykonaniem wielkiego zadania, wielkiej potrzeby narodowej”. To nie przemówienie, to zwykła rozmowa. A takim językiem u Buczkowskiego posługują się prości kolejarze. Czy takie „kazanie” rzeczywiście mogło z miejsca odmienić tak zakamieniałego rutyniarza, jakim jest Chmielarski?

Dla pełniejszego obrazu należałoby jeszcze powiedzieć o bardzo niedbalym stylu Buczkowskiego. Książka roi się o dziennikarskich wstawek, rozbijających zwartość artystyczną opowiadania.

„Bohaterowie” opowiadania nie wpływają na ogół czynnie na bieg wydarzeń a konflikty między nimi rozgrywa się w kategoriach magicznego przyroku. Wiała tylko dzięki zbiegowi okoliczności odnajduje doszu-

1882 — 1952

70 rocznica „PROLETARIATU”

Ludwik Waryński
Mal. Stanisław Dawski

Mal. Stanisław Lentz

SERGIUSZ MICHAŁKOW

Rubel i dolar

Amerykański dolar pełen samochwalstwa, Ze go przyjmują wszędzie chociaż bez ochoty, Ważny, że pożyczają go „zachodnie” państwa, Przypadkiem spotkał się z radzieckim rublem złotym.

Nuż jąt się stawiać pysznie, chwalić całą gębą: „Przedemną drą jak niewolnicy ludy świata, Otwarte wszystkie kraje przed moją potęgą, O łaskę mą minister i prostak kołata.

Potrąfię kupić wszystko, na co bierze chęć mnie. Chęć — do więzienia wtrącam, chęć — darzę łaskami: Eylem w dalekich Chinach, odwiedźm Grecję... Więc czy się może równać rubel z dolarami?”

„A ja się z tobą wcale nie zamierzam równać — Odparł mu na to rubel. — Dobrze wiem, kim jesteś. Cóż z tego, że zwiędziłeś wszystko aż po równik, Ze cały świat zjeździłeś z brzękiem i szelestem.

Wystarczy, abyś w jakim kraju się pojawił, Natychmiast śmierć i nędza kroczą po twym śladzie. Ciebie za brudne sprawy bierze oprych krwawy, Ciebie handarz ojczyzną do kieszeni kładzie.

A ja to pieniądź ludu. Lud mnie wziął w obroty, Lud, który świat buduje i o pokój walczy. Dlatego więcej ważę niżli dolar złoty... No, z drogi! Idzie rubel. Przechwalek wystarczy!”

Tłum. G. Timofiejew

LEONARD WALLICHT

Dzieje jednej zbrodni

N ASZA znajomość postępowej literatury krajów kapitalistycznych wciąż jeszcze jest niewielka. Chodzi mi o klasyków. Ciągłe jeszcze mamy duże załogę, które klasowa cenzura przedwojenna uważała za szkodliwe. I dlatego nie jeden polski czytelnik, biorąc o ręki książkę, uderzającą śmiałością myśli i odwagą ich wypowiedzenia, ze zdumieniem stwierdza, że autor zmarł już przed półwieczem i że w historii literatury swojego kraju zajmuje poczesne miejsce. Takie refleksje nasunęły mi się, gdy przeczytałem powieść „Zbrodnia księdza Amaro” (*).

Autorem jej jest José Maria de Eca de Queiroz.

Jak informuje krótki, ale obfity w wiadomości wstęp tłumacza, de Queiroz był przywódcą walczącego realizmu, który w owych czasach (lata siedemdziesiąte XX wieku) stanowił nowy kierunek w literaturze portugalskiej.

Dla literatury portugalskiej Queiroz był tym, czym Balzac dla francuskiej, Pierwszą większą powieścią de Queiroza jest właśnie „Zbrodnia księdza Amaro”.

Bohaterem utworu, którego akcja toczy się w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, jest Amaro Vieira, młody proboszcz w Leirii, w Portugalii. W jaki sposób Amaro został księdzem? — oto pytanie. Syn lokaja i pokojówki, po rychłej śmierci rodziców, wychowywał się w domu ich byłej pani, markizy de Alegros. Markiza była osobą, której życie wypełniała dewocja, wizyty księży, zycie obrusów dla kościoła i opieka nad „ubogimi”. Jak pisał de Queiroz, dla markizy i jej córek — „religia i dobroczynność stanowiły jedyną rozrywkę”. Rzecz jasna, że dla takiej osoby jak pani de Alegros, która z domu swego uczyniła niemal zakrystię, sprawa przyszłości osieroczonego chłopca nie mogła być zadecydowana inaczej, jak przez postanowienie, że Amaro poświęci się życiu duchowemu. I pod tym tylko warunkiem markiza pozostawiła trzynastoletniemu Vieira legat.

Po święceniach młody ksiądz przebywał początkowo w ubogiej, górskiej parafii, potem — dzięki poleceniu córki markizy — został proboszczem w Leirii, stolicy okręgu i siedzibie biskupa. Dosłaję się tam w środowisko dewotek. Córka gospodyni domu, Amelia, nie zdaje sobie sprawy z fałszywej nabożności otoczenia; wychowywana od dziecka wśród księży dąży ich gorącym uwielbieniem. Między proboszczem a Amelią zawiązuje się bliska znajomość. Amaro, który początkowo starał się zdusić nie dozwolone uczucie, widząc przykład zwierznika — odrzuca wszelkie skrupuły. Ameli trudno było się oprzeć człowiekowi „przewijającemu archaniołów bogactwem łask”. Książka obfituje w opisy intrzy i sposobów, za pomocą których Amaro i Amelia usiłują ukryć przed opinią swój stosunek, korzystając przy tym z pomocy kanonika. Znajomość z Amara kończy się dla Ameli tragicznie. Dziewczyna po urodzeniu dziecka umiera. Dzień przedtem proboszcz oddał syna do „fabrykantki aniołków”. Tak wygląda dzieje „zbrodni księdza Amaro”. Oto produkty zgnieł moralności burżuazyjnej.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczerze wyposażał swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które polega na ascetycznych wyrzeczeniach.

Kim byli ci, którzy „zepsuli” młodego Amara,

WŁADYSŁAW KULA

Długotrwała pomoc szkoły

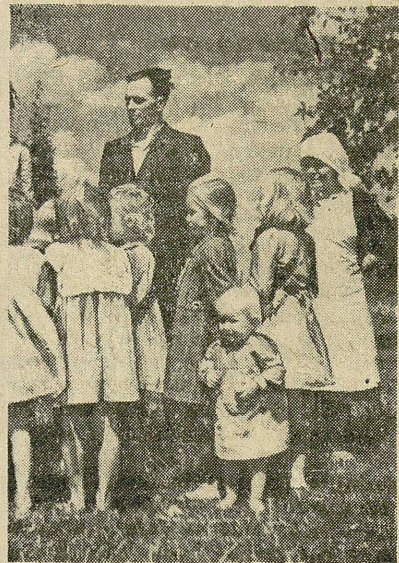


Foto: J. K. Maciejewski

12 maja 1947 r. zwolniłem się z czynnej służby wojskowej i postanowiłem poświęcić się pracy nauczycielskiej. Skierowano mnie do wsi Przysieles pow. Brzeg nad Odrą.

Wyobraziłem sobie wioskę na Ziemniach Zachodnich na wiosnę 1947 r. Około tysiąca różnej zbieraniny, głównie z za Buga i z województwa kieleckiego a po trosze i z innych części Polski. Wszędzie jeszcze nie żyte z sobą i częstokroć skłócone. Nad tę masę zaczynała już wypływać różna świeżo w tłumach porośnięta indywidua i brać za klasę bogaczy, oddając im po 20 i więcej ha.

W radzie gminnej kuliacy — wójtom, rzecznik, niejaki Rulski, czołowy spekulant i wyzyskiwacz, popierany przez starostę Wójcickiego.

Mało i średniorolny chłop pozbawiony był reprezentacji. PPR na tym terenie dopiero rozpoczynało działalność.

W takich warunkach rozpoczynałem pracę nauczyciela. Miałem tę ambicję, by wpływać na życie mojej wsi, a nie być tylko biernym obserwatorem.

Nie chciałem być również partyzantem, w pracy samotnym społecznikiem, podejmującym orkę na ugorze. Wstąpiłem do PPR. W jesieni zostałem I sekretarzem komitetu. Jednocześnie mianowano mnie kierownikiem szkoły.

Kiedy dziś, gdy mamy już w naszej wsi spółdzielnię produkcyjną, spojrzeć na drogę, którą gromada nasza przebyła od tamtego czasu, łatwo dostrzec, jaką rolę odegrała ta szkoła. To ona była najbliższą pomocniczą organizacją partyjnej.

Wkrótce otrzymujemy pierwsze wyniki. Młodzież sama żąda pieśni i książek radzieckich. Dyskusję o spółdzielni produkcyjnej przenosi do domów rodzinnych.

Wyrasta aktywny młodzieżowy — z dwoma harcerzami Stanisławem Marcem i Zbigniewem Ciomborem na czele. We wsi pojawiają się korespondencje w „Świecie Młodzieży”. Kolega Stanisław Pazdom organizuje i szkoli chór szkolny. Nie macie pojęcia jak taki dobrze pracujący chór może pomóc w pracy społecznej. A nasz chór pracuje dobrze. W 1951 r. otrzymał na eliminacjach powiatowych w Brzegu I nagrodę, zwyciężając m. in. chór Liceum Pedagogicznego i Liceum Ogólnokształcącego.

W lecie 1950 roku zakładamy pierwsze spółdzielnie w naszej gminie. W Jankowicach Wielkich i w Przysiesiu.

W Jankowicach Wielkich spółdzielnia powstaje na niezbyt zdrowych podstawach — sposobem napoleońskim administracyjnym, co powoduje wrogi podział wsi na dwa zważające się obozy, podział bynajmniej nie idący po linii klasowej, a w rezultacie zasklepienie się spółdzielni i oderwanie się od gromady.

W Przysiesiu, gdzie inicjatywa założenia spółdzielni wyszła od miejscowego aktyw, gdzie aktywny ten był silny i miał decydujący wpływ w gromadzie, gdzie wreszcie — z czego jestem najwięcej dumny — silne było oddziaływanie szkoły — spółdzielnia natrafiła na grunt przygotowany i mogła roz-

wijać się na zdrowych podstawach. Początkowo Jankowice Wielkie wyprzedzają Przysiesie pod względem gospodarczym i wybijają się nawet na pierwsze miejsce w powiecie, wykonując w terminie i w stu procentach plan zasiewów. W ten sposób pokazują indywidualnym gospodarzom swojej gromady wyższość gospodarki zespołowej. Ale mimo tych sukcesów, gospodarzy na wzrost liczebny na razie liczyć nie mogą. Nie potrafią jeszcze promieniować.

U nas w Przysiesiu sytuacja jest wręcz odwrotna. Ciężko nam szło z gospodarką, ale za to oparliśmy się mocno na najważniejszym fundamencie — na ludziach.

Na wiosnę 1951 roku pozyskalismy od razu 48 nowych członków, że liczyliśmy już 68 gospodarzy z 800 ha ziemi, 60 koniami i 70 krowami.

Z pomocą POM-u wysunęliśmy się powoli na czołowe miejsce wśród spółdzielni naszego powiatu.

Nasz przykład był zaraźliwy. W 1951 roku powstają nowe spółdzielnie w sąsiednich gromadach: Bąków, Młodoszowice i Oborki, przy czym aktywni tych gromad poszli już o wiele łatwiej niż nam. Ilość gospodarstw, które wstąpiły do spółdzielni, sięga w tych gromadach 95 proc.

Na dobrej drodze do założenia spółdzielni znajdują się także gromady Łukowice Brzeskie i Brzozów. Opóźnienie ich wynika z braku silnego aktyw politycznego i oświatowego.

Najgorzej jest z gromadą Pełpice, która jak dotąd nie posiada jeszcze warunków na założenie spółdzielni.

Brak tu podstawowej organizacji partyjnej, a koło ZSL rozbudowane jest ilościowo reprezentuje b. niski poziom polityczno-społeczny.

I wreszcie jedna jeszcze przyczyna: tamtejszy kierownik szkoły bynajmniej nie jest dla gromady budującym przykładem.

A przecież od nauczyciela tyle zależy.

Władysław Kula

BOGUSŁAW KOGUT

Meldunki z trudnej gminy

Na punkcie skupu ziemiopłodów w Kotmierzu ruch od świtu do późnego wieczora. Przed rampami magazynów ciążą koni i wozów, na wozach czubate sterty psiatych worków. To gmina Dobrzez, największa gmina w powiecie bydgoskim sprzedaje państwu zboże. Suche żyto prosto do wagonów na ładowni, wilgotniejsza — do magazynów suszących, tu jeszcze groch i tulin a tam kapusta. Punkt skupu roi się nieczym ogromne targowisko. Nie trzeba się temu dziwić, bowiem GS w Dobrzezu to placówka o bardzo wielkiej przepustowości towarowej a plan skupu na gminę sięga cyfry 4000 ton.

Radując oczy takim widokiem kręciliśmy się po placu i snulem plany napisania tzw. artystycznego reportażu. Ale nie napisałem. Dlaczego? Bo różne „ale” wnet zaczęły się mnożyć przed moimi oczyma, a niektóre z tych „ale” mogą poważnie zaszkodzić akcji skupu. Wybyłem się więc ambicji beletrysty, a uzbroidłem się w słuch i wzrok korespondenta. I nie będzie reportażu — będzie korespondencja z frontu trudnej walki.

X

Trudno człowiekowi, nieznającemu dokładnie wewnętrznych komplikacji danego „pionu” — rozstrząsać się nieraz w tych „ale”. Bo na przykład taka sprawa: W GS-ie dzień wypłaty. Robotnicy wyładunkowi, którzy stanęli do pracy nadgodzinowej i od kilku tygodni pracują po kilkanaście godzin na dobę (gdzie punkt skupu czynny jest cały dzień) — odbierają wypłatę. Przy kantorze gwar podniesionych głosów. Robotnik jakiś wali czapką o ziemię i klnie: Nie przyjdzie do roboty, niech diabli wezwą wszystkich.

O co powzię?

Nie placą za nadgodzinę. Za lipiec GS wypłacił z własnej rezerwy. Ale rezerwa się wyczerpała i do sierpnia za nadgodzinę nie wypłacano. Pieniądza „nie przyszedł”. Skąd nie przyszedł? Ano — z gó-

ry”. Człowiekowi nienajlepiej zorientowanemu w zakamarkach maszyny administracyjnej pionu trudno wynaleźć punkt, w którym sprawa utknęła. Mówią, że w PZGS-ach inni, że w Warszawie. Więc zamiast pytać bez końca, kto tam z górą się zdarzynał, kto zwinął — zapytam: Co będzie, jeśli rozgorczy i robotnicy nie przyjdą do pracy nadliczbowej, jeśli magazyny zamkną swe bramy o godz. 15-tej, a chłopci, którzy po kilkanaście kilometrów wzięli zboże wrócąc z ładunkiem do domu? Plan padnie, bo ani kierownictwo GS ani GRN nie w takiej sytuacji nie poradzą. A to wszystko dlatego, że gdzieś, na którymś tam szczeblu ktoś przepisał sprawę. Przepisał — może nie teraz, może znacznie wcześniej, w okresie przygotowań do skupów, kiedy należało z górą przewidzieć fundusze na płace za pracę nadliczbową.

Prezes GS-u mówi, że w r. ubiegłym płacono na czas. Obecnie, mimo interwencji ze strony GS-u, pieniędzy dla robotników nie ma. Czyli, że w tym roku na owym „szczeblu” więcej spano niż w ubiegłym. Taki — postęp.

Dobrze, jeśli robotnicy świadomi wielkiego znaczenia akcji skupu będą pracować i czekać na wypłatę, która nastąpi „może w maju, może w grudniu” — ale po co stwarzać tego rodzaju sytuację, po co niepotrzebnie wystawiać na ryzyko powodzenie tak ważnej akcji i — co tu owijać w bawełnę — po co wodzić za nos ofiarnych robotników?

X

Inna sprawa — etaty. W każdym GS-ie bez względu na jego siłę gospodarczą jest jeden etat referenta skupu ziemiopłodów. W takim takim na to — Mąkowsku, gminie liczącej 6 gromad (plan skupu ok. 700 ton) — jeden referent skupu — a w Dobrzezu (16 gromad, ok. 4000 ton skupu planu) też jeden referent. Referent z Mąkowskiej może obok swej pracy sprawozdawczo-statystycznej (biurowej) pracować także w terenie i przyczyniać się do wykonania planu dostaw. Referent w Dobrzezu ledwie może nadążyć z pracą biurową (którą, biorąc pod uwagę przepustowość towarową jest pięć i pół razy więcej niż w Mąkowskiej) a o pracy agitacyjno-organizacyjnej w terenie nie może być mowy. Oczywiście, nie trzeba przeceniać pracy referenta skupu w terenie — nie tylko od tego zależy powodzenie planu dostaw — ale w każdym razie — jeden aktywista w terenie więcej to i praca lepiej idzie. Sprawy te kierownictwo GS-u w Dobrzezu stawiało na licznych odprawach w PZGS w Bydgoszczy, ale etatycaż okazała się niemożliwym dogmatem. A nieobeznany z biurokracją korespondent, pisząc te słowa myśli sobie, że przecież to takie proste — przy planowaniu etatów brać pod uwagę rzeczywiste potrzeby placówki.

X

Jest u nas piękna i sprawdzona zasada nagradzania premiami najlepiej, najwydajniej pracujących

Bogusław Kogut

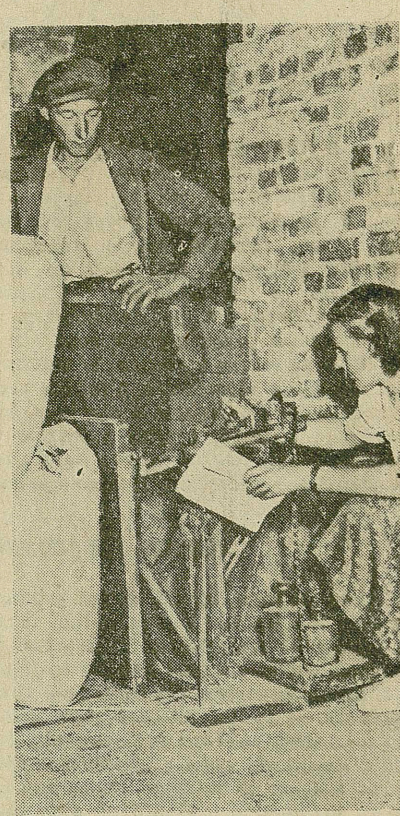


Foto — CAF

ludzi. CRS ma też swój sposób premiowania. Przysięga się premię pracownikom tych GS-ów, które wykonują plany skupu. Intencja w zasadzie słuszna — jej praktyczna realizacja — fałszywa. Jak fałszywa, niech wykaże poniższy przykład.

W ubiegłym roku gmina Dobrzez nie wywiązała się z planu dostawy ziemiopłodów, a więc w konsekwencji GS nie wykonał planu skupu. Natomiast chłopci gminy Bydgoszcz — Wieś wywiązali się z dostaw, więc i GS wykonał plan skupu. Z tą różnicą, że robotnicy GS w Bydgoszczy-Wsi przekroczyli plan skupu odebrali ok. 900 ton zboża, natomiast robotnicy GS w Dobrzezu nie wykonawszy planu odebrali ok. 3500 ton. Jeśli GS w Dobrzezu zatrudnił tylko 6 robotników więcej, to jasne jest, że robotnicy tego GS-u wzięli kilkakrotnie więcej pracy w akcji skupu, niż robotnicy z Bydgoszczy-Wsi. Ale robotnicy z Dobrzeza premii nie dostali, podczas kiedy robotnicy z Bydgoszczy-Wsi otrzymali wysokie premie (za wykonanie kilkakrotnie mniejszej pracy). Nie trzeba nikomu tłumaczyć, że wykonanie planu dostaw przez gminę, a zatem wykonanie planu skupu przez GS jest najmniej zależne od pracujących ofiarne robotników magazynowych, że za niewykonanie planu dostaw przez gminę, czy to wskutek słabej pracy politycznej w danym terenie, czy to z innych powodów — nie mogą ponosić szkody robotnicy magazynowi.

Powie może jakiś lakiernik, że to nietypowe, że może się nawet coś podobnego zdarzyło, ale po co zarząca krzyk i to w piśmie literackim. Otóż co prawda nie wiem w ilu powiatach w kraju zaistniały podobne dysproporcje, ale chodzi o coś innego. Wszystkie tego rodzaju sprawy w bardzo dużym stopniu utrudniają pracę GS-ów, zwłaszcza tych „trudnych”, o dużym zasięgu działania.

STANISŁAW PIĘTAK

Posucha w 1951 r.

I.

W owym czasie w strumieniach podłężnych zabrakło wody. Przez wezbrane niedawna porą stawy biegł trakt młody. Ziemię na polach popekaly już jak ludzkie ręce. Drzewa opięte kurzem i rdzą chyliły się w męce. W owym czasie tak żarliwi byli w myślach pragnienia, że ludzie rankiem słyszeli deszcz szmerzący przy sieniach. Oczy, kiedy ujrzały potem słoneczne przestworza, zamykały się, jakby chroniąc się przed ciosem noża.

II.

Wieczór błękitny znów schodził, szeleściły przestrzenie Szum, w którym żyły dalekie głosy, płynął przez ziemię. Przy obalanej akcji gromadzili się ludzie, pragnąc odpocząć w chłodzie po parnym dziennym trudzie. Byli tu kobiety, byli starzy i młodzi chłopcy. Dzieci patrząc jak ostatnie światło dnia na polach się topi, podchodzili ku matkom i siedzieli zasłuchane. Opowieść jednak nie śmiech niosła, lecz troskę i ranę. Ktoś starszy szeptał, że ziemi obsiewać nie jest w stanie. — Rwie się przy orce, jakby korzenie żyły w niej same — inny użalał się, ale nagle wszyscy umilkli, bo student, co siedział nad rowem, podjął szepc niezwykły... — Z posuchą — mówił — walczyć nie od dziś

w Związku Radzieckim.

III.

Jakby powiało wonią lip, wzruszyła ludzi mowa. Siedzieli wpatrzni w marzenie, nie mówiąc ni słowa — i oto u nóg jednej z matek spał malec szczęśliwy. Szedł właśnie po sady, gdzie chwiały się zielone sliwy i wtem uniósł dłoń, złotą zwiastując zerwał gruszkę i poczęł biec po wijącej się jak rzeczulka drodze. Deszcz padał, deszcz wilżył twarz, obmywał drżące powieki. Ulewa srebrzystym smarem objęła las daleki. Może wielkich wzruszeń chłopca domyślił się inni, bo westchnęli i stali cisi jak na dźwięków linii. Wzrok ich nadzieją otaczał spękana, cierpka ziemię. Szli — jak ptaki przyjażne wybiegały przed nich cienie.

HALINA FILUTOWICZ

MICZURINOWCY PRZY PRACY

Na skraju jednego z ogrodów kończących się wśród bogatych krzewów morwy stoją trzy grusze. Różnią się tak bardzo, że nikt nie dotarłby się w nich bliższego pokrewieństwa, gdyby nie stwierdził tego ich rodowód. Dzięki temu, że ocalały szczęśliwie z zawieruchy wojennej są dziś żywym dowodem, że już kilkanaście lat temu na końcówce ziem w powiecie toruńskim rozpoczęto prace badawcze według teorii Mieczurina. Grusze mają dziś 17 lat.

Jest wczesny ranek i jeszcze rosa polyskuje w słońcu. Mikołaj Lipski zaczyna swój codzienny obchód od trzech sąsiadujących ze sobą gruszek. Przystaje na długi moment przed nimi, obserwując sztywne listki błyszczące od rannej wilgoci. Ich szelest ma dla niego zupełnie inną wymowę niż dla obcego człowieka. Bo przecież pomijając sam fakt własnoręcznego wyhodowania tych drzewek owocowych, największe chyba znaczenie ma dla Lipskiego to, że jedna z gruszek nosi oficjalnie jego imię — znawcy nazywali ją Bera Lipskiego. Drzewko to odznacza się specjalnymi walorami owoców, soczystych, jasnożółtych, rozpylających się w ustach gruszek.

Patrząc na zielone i twarde jeszcze owoce, bo to przecież dopiero połowa sierpnia, ogrodnik Lipski przypomina sobie jak to było z tą Bera. Od niej rozpoczął swoje eksperymenty. Ilekć lekko i niepowodzenie przeżył oczekując wyników doświadczeń z siewkami drzewek owocowych. Jaki ciekawy był czy

to, co wyczytał w książce znakomitego ogrodnika radzieckiego, którą z takim trudem zdobył w 1934 roku, znajdzie pokrycie u niego w praktyce. Teoria Mieczurina nie zawiodła go jednak. W rok potem Lipski miał już bowiem dwa tysiące siewek i krzyżówek owocowych. Pielęgnował je troskliwie przez cztery lata po to, aby w chwili wybuchu wojny pozostawić na lś świetła. Zmusiła go do tego konieczność, bo do wyboru miał tylko dwie alternatywy — sad lub życie.

Po powrocie z tułaczki odnalazł tylko trzy drzewka. Te, które rosły na uboczu nie zwróciły niczyjej uwagi.

W inspekcje tuż koło domu rozkwitł dziś piękny, czerwony miewczyk. Kwiat niezmiennie jeszcze słońcem ma duży, jedyny kielich. Lipski troskliwie zrusza ziemię wokół grubej łodygi. W najbliższym jej sąsiedztwie znajdują się porzeczki wysokopienne, Lipski wyhodował je nie w drodze szepczenia, jak to się czyni zazwyczaj, ale z odmiany, która po odpowiednim przycięciu, strzela w wysoki pęd. Krzew przeobrażony w ten sposób dał się prowadzić w formie drzewka, tak dekoracyjnego i pożądanego w ogródkach działkowych i miejskich.

Podczas śniadania żona podaje mu niewielką karteczkę. — Odpisałeś na ten list, Mikołaju?

Lipski obraca w palcach kartkę. — Ależ naturalnie. Już chyba mają wyniki swej pracy — dodaje z namysłem. — To pisał nauczyciel

z Wąsosz. Ciekawe czy zadzielił te brzoskwinie, czy nie? Radziłem im, żeby zdobyli zrazy migdała „Pośrednik” przez Główny Zarząd Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. To odmiana wyhodowana przez Mieczurina i daje się doskonale krzyżować z brzoskwinia, ma owoc odporny na mróz?

Wiesiek Piotrowski to opalony, barczysty chłopak, interesujący się od najmłodszych lat przyrodą, roślinami, ogrodnictwem. Dziś jako czterastoletni młodzieniec — Wiesio, należy już również do tutejszego koła miczurinowskiego. Idąc za przykładem matki, zabrał się i on do eksperymentowania. Przeprowadza doświadczenie z prosem japońskim. Nasiona otrzymane z Samopomocy Chłopskiej wysiał na parcelce w dwójaki sposób, ot tak — dla porównania jak będzie lepiej. Część — kupkowo, część — pojedynczo. Kiedyś na zebraniu koła miczurinowskiego posyłał od Lipskiego, który był przewodniczącym, że uprawa kok-sag-hizu zaczęła się udawać dopiero wtedy, gdy zastosowano siew kupkowy. Stąd zrodził się w jego głowie pomysł doświadczenia z prosem japońskim. A nuż z prosem będzie tak samo?

Stojąc teraz obaj z Lipskim przy parcelce medytujący w milczeniu. Ogrodnik nie lubi mówić przedwcześnie. Woli obserwować.

Milczenie przerwał Wiesio. — Tu, gdzie siałem kupkowo proso, weszło szybciej. Nasiona wspólnie wysyłały się i szybciej uniosły ziemię — prawda?

Lipski przytaknął. — Będziesz miał dobrą passę — dodał dotykając ręką bujnych, szeleszczących liści. — I na siew też starczy.

Przeszli do następnej parcelki, gdzie zieleniły się ziemniaczane liście.

— Jeszcze nie skończyły wegetować...

— Bo to są ostatnie — wyjaśnił Wiesio. — Tu są średnie, a tam najwcześniejsze — pokazał ręką. Obeszli półkoło. — Te, które otrzymałem z pierwszych kielików, są już duże. — Piotrowski wygrzebał palcem spory, żółtawy kartofel.



Przypomnieli sobie jak to Wiesio posadził ziemniaki pod stodołą, gdzie miały dość ciepłą temperaturę, ponieważ były tam osłonięte od wiatru i na południowej stronie szybko skiełkowały. Kielki te Piotrowski wysadził i czekał na następne. Eksperyment powtórzył trzykrotnie. W ten sposób z jednego ziemniaka otrzymał od 25 do 30 roślin.

Przeszli razem przez ogród Lipskiego, rozmawiając o pracach interesujących zarówno wypraktykowanego ogrodnika, jakim był Lipski, jak i młodego, kształcącego się dopiero w tej dziedzinie Wiesia. Zatrzymali się na chwilę przy pomidorach odmiany Open Airy, przypatrując się różniącym owocom i tu zastała ich Lipska.

— Szukam ciebie po całym ogrodzie. Masz gościa. Jakaś pani chce się dowiedzieć szczegółów o pracy naszego koła miczurinowskiego.

Zawrócili ku domowi. Niespodziewanym gościem okazała się dziennikarka z Bydgoszczy, zainteresowana pracą kończących miczurinowców.

— Mam mniej więcej 5 hektarów — opowiada Lipski. — Te działki otrzymałem dwa lata temu z parcelacji jednego majątku. Mówię dlatego w liczbie mnogiej, gdyż jest nas tu 9 ogrodników. Na pewno nie wyobraża sobie pani tej pionierskiej pracy, jaką mieliśmy tu w owych dawnych latach. Dla mnie osobiście decydującym rokiem był 1934. a raczej 1935, gdy zacząłem pracować według metod Mieczurina, na podstawie jego książki, sprawozdanej drogą okrężną, bo aż przez Berlin i z wielkimi trudnościami.

— Dawno istnieje tu koło miczurinowskie?

— Zorganizowaliśmy pracę w 1950 roku. Najmłodszym miłośnikiem nowoczesnego ogrodnictwa jest Wiesio Piotrowski. Jego ojciec był też ogrodnikiem, zginął w czasie okupacji, podobnie jak Strakowski i Zieleński. Ale ich rodziny nadal podtrzymują tradycję ogrodnictwa i pracują w tym kierunku. Piotrowska i Strakowska posyłały nawet na wystawę kwiatową w Toruniu wyhodowane przez siebie dalia. A Wiesio przeprowadza doświadczenia z japońskim prosem i ziemniakami. Narazie wszyscy zajmujemy się pracą w terenie, dopiero w jesieni po zbiorze nasion, po ukończeniu prac w ogrodach zbieramy się, aby omawiać nasze

wyniki, aby podzielić się doświadczeniami, których nikomu nie brakuje. Wtedy mamy czas na ogabowanie wszystkich — osiągnięci i trudności.

— Przysłałoby się sztuczne nawadnianie — z troską w głosie zauważył Lipski. — U nas trudno z podlewaniem. Brak bezkoczowo bardzo daje się we znaki. Nie mamy również weży. A rośliny wymagają przecież swojej „porcji” wilgoci. O, proszę spojrzeć na ten rabarbar. Jaki byłby piękny, gdyby go porządnie podlać!

— Mamu tu dużo ciekawych osiągnięć, aż się czasem wierzy nie chce, że można do tego stopnia zmieniać cechy roślin i uzależniać je od woli człowieka. Pracujemy nad nowymi odmianami ogórków przeznaczonych specjalnie dla konserw puszkowych, nad różnymi odmianami truskawek, nad wiśniami, jabłoniemi, gruszkami. Trudno doprawdy wymienić wszystkie rośliny, którymi się zajmujemy. Jest tu dość bogata biblioteczka miczurinowska, którą otrzymaliśmy od Samopomocy Chłopskiej. Korzystamy z niej zwłaszcza zimą, bo wiosna i lato — to sezon eksperymentów.

W słońcu kwiaty mieniły się wszelkimi odcieniami fioleto.

— A czy pani wie, że nie ma flosków czerwonych.

— Ale będą — roześmiał się Lipski. — Zobaczą pani, że będą. Za parę lat... obejrzy pani, na własne oczy czerwone floski wyhodowane przez miczurinowców z Kończewic. Bo niech mi pani wierzy — wszystkiego można dokonać, jak się tego naprawdę chce. Trzeba tylko wzorować się na pracowitym życiu Mieczurina!

Halina Filutowicz

ANIELA DASZEWSKA

Piszeie o kobietach

NA Kongresie Spółdzielczym dla mnie, ważne były przerwy w obradach. Wówczas tym delegatów wywalał się na korytarze i do sali bufetu... Węj, a ja zaczynałam pracować. Robiłam wywiad, dy, pięć, dziesięć minut rozmowy. A człowiek przecież nieznaną, wyrwany ze swego codziennego otoczenia i środowiska. Człowiek zaskoczony, choć życzliwy. Łapałam kobiety. Pytałam w jakim zakresie pracują społecznie. A potem... upływało 10 — 15 minut i koniec. W notatniku i pamięci pozostało kilka informacji, z jakich nigdy nie powstanie nawet szkic portretu. Ale nie taka ich rola. Czytelnik, kiedy je odczyta, powie: napiszcie o tych kobietach szczegółowiej, warte tego. Pisarz znajduje adresy bohaterów nie podjętych jeszcze opowieści.

Anna Rejman

Anna Rejman, lat 32, sółtys gromady Czarna w powiecie łanuckim. Twarz ładna, w poruszeniu, geście i mowie — energiczna. W zeszłym roku Czarna wywalała się ze skupu i kontraktacji pierwsza w powiecie. Łatwo domyślić się, ile w tym zasługi Rejmanowej. Kobieta — sółtys. Nowatorstwo. Nie tylko dla kobiety wiejskiej, również dla gromady. Sółtys — chłop gada z chłopami, czyli z „jednym węglem”, a trzy pozostałe trzyma w każdym domu baba. Rejmanowa dociera do kobiet, jeśli nie od nich zaczyna, to na nich kończy.

Wdowa. W 1944 roku męża zamordowali bandyci fałszywcy. Nad Wisłoką pilnował przewoźnika i nocą zastrzelił. Dlaczego? Organizował we wsi Komitet Biedoty do Reformy Rolnej, Milicję Obywatelską. On pierwszy w Czarnej i sąsiednich gromadach czytał chłopom „naszą złotą ksiąteczkę — Manifest Lipcowy”.

— To Wasz mąż?

— Mój mąż... poznałam go w 1935 r. Miałam wówczas 16 lat. On akurat wyszedł z więzienia. Piętnaście lat w nim przesiedział — za komunizm. On mi dopiero oczy otworzył. Za coś go mogłam pokochać, za politykę. Krótko żyliśmy ze sobą. Podczas okupacji był poza domem, ścigany przez gestapo i naganiany. Stłeczko Lipcowe znów nas połączyło, ale już 7 września padł. W naszej rodzinie zostało od walki ja i dwie córki. Zdobyłam zaufanie ludzi. Umieję do nich przemówić. Uczył mnie mój mąż, komunista rzeszowski.

Weronika Troszczyńska

Poznańskie, powiat Krotoszyński. Pszeniczny i buraczany powiat. Ale Weronika Troszczyńska była córką robotnika rolnego. Od dziecka pracowała na pańskim. Też wdowa. Wciąż znowu pytam o męża. I znowu z przesłabości wybliska miłość, jakiej literatura burżuazyjna nigdy nie mogła i nie chciała ukazać. Pobrali się w 1934 roku. On był synem 4,5 hektarowego gospodarza. Rodzeństwa siedmioro. Nowej „gęby” nie cniiano wpuszczać na „gospodarstwo”.

— Kochał mnie, bo wziął mój los. Przyszedł do nas, do chałupy robotników rolnych. Pociągnął go, nie wiedząc, na śmierć. Cztery lata całego szczęścia. Troje dzieci. Chciał, abymy żyły a nie zdychali więc i na folwarku pracował ze mną i sędził jeszcze „na szos”. I tam przy tłuczeniu kamienia zaczął kaszleć i kaszleć, pochorał się wreszcie i już nie wstał.

Reforma Rolna dała ziemię Weronice: „Wstąpiła wówczas we mnie jakby jaka jasność”. Zapisła się w 1945 r. do Stronnictwa Ludowego, a potem do ZSL. Wybrała ją na prezeskę Samopomocy w gromadzie. Zatożyła Koto Gospodyń, na początek 20 członków. Teraz już nie jest przewodniczącą, bo ma wiele innych prac w gminie. Jest rażą w Komitecie przy GS-ie i sółtysiem w Zalesiu Wielkim. W ostawie zooa Zalesie trzyma pierwsze miejsce w gminie Koosylin. Prawda, że to... Poznańskie, gdzie panuje trawicya dzieżdzienia gospodarki przez kobiety. Najmłodszą przeznaczono na sukcesora całej ziemi. Gospodarzami więc bywały często kobiety. Wychodziła wówczas dzieżdziczka w życie publiczne gromady i gminy nie jako gospodyni, ale jako gospodarz, takomy zaszczytów, poważania i rzędzenia.

Weronika Troszczyńska była robotnicą rolną. Na drodze takiego jak jej życia los przydeptywał nie tylko kobiety. Ukazuje przemianę tej kobiety, ukazuje rewolucję w kobietach z okręgu „sił roboczych”, jakich Poznańskie obok Rzeszowskiego miało w Polsce przed wojną najwięcej.

Franciszka Buszowa

Też Poznańskie, powiat kościański. Franciszka Buszowa jest prezesem Samopomocy Chłopskiej na gminie Krzyw. Ma 53 lata. Wędruje po wsiach oddalonych nieraz o kilkanaście km. Co ją popchnęło do pracy społecznej? — Dzieci — odpowiada jasno i rzeczowo. Dzieci? A tak. Kiedyś, kiedy szło tylko o szkołę powszechną, mawiał jej sąsiad, kulał — „jak może myśleć taka śmierzająca bieda o nauce?” Myśleć, myślała ale wyszło na to, że syn Buszowej dopiero po wojnie, mając 16 lat, zaczął się uczyć. Zdał maturę. Został buchalterem i członkiem Zarządu w GS-ie. Młodszy syn w Poznaniu, uczy się na planistę w szkole zawodowej przy Zakładach Stalina.

Ostatnio, od września do października, Buszową pochłania Konkurs współzawodnicstwa o tytuł przodującej gospodyni. W hodowli świń, bydła, królików i uprawie ogródków warzywnych — taki jest zakres Konkursu. Buszowa do Konkursu zaangażowała 49 kobiet i 4 kół gospodyń. Chcą zdobyć maszynę do szycia, albo radio? Chcą. Ale i wyudzić się, ale i zasłużyć na szczęśliwy los dzieci. Kontraktacje bowiem w hodowli albo w przemysłowych roślinach czyż to w gruncie rzeczy praca — nie kobiet? Praktycznie — one podejmują i wypełniają pracochłonne kontraktacje. — To... za dzieci i dla dzieci, że się uczą i będą miały dobrze. Buszowa nie wybiera się jeszcze na emeryturę do syna. Zamierza kupić sobie rower i w 53 roku życia nauczyć się jeździć, aby docierać częściej do wszystkich Kół i kobiet w gminie.

Aniela Daszewska

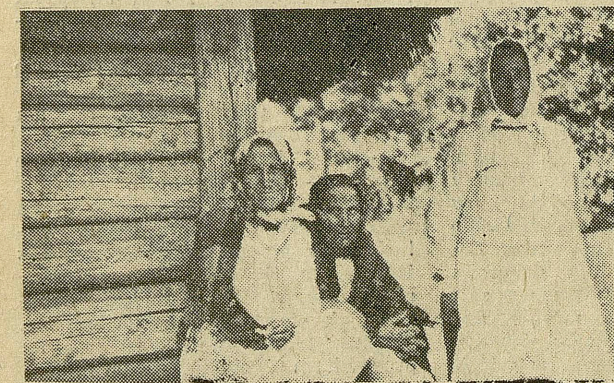


Foto: J. K. Maciejewski



Mal. Konrad Krzyżanowski

EMIL GRANAT

OPOWIEŚĆ MATKI

(Ballada)

Siedliśmy w żółtym blasku lampy
Naftowej zwisłej u pulapu.
Pomnę — choć z lat tych prawie pył
Pozostał w mojej księdze wspomnień —
Za oknem spadał deszcz z okapu,

Siedliśmy — matka grzejąc ręce
Opowieść tymi wszczęła słowy.
„Lat miałam wtedy sześć — nie więcej.
Burza jak dziś szalała w mroku —
I jeszcze straszniej bo jesienią
Był już późna — w szybkim kroku
Szedł k'nam październik. Nawet jemiół
Wiecznie zielonych nie dostrzegło
Twe oko;

Domy jako gmachy

Wylbrzymione grozą nocy;
Ślomie, jak kaptury, dachy
Trzęsły się, pełne groźnej mocy.
Brodziłam z płaczem po kałużach

Szukając domu — chciałam wrócić
Do matki ze służby od bogacza
Uciekająca, zbuntowana:
Mniej strasza była nocna burza,
Wolałam w piekło wicherów rzucić
Swą nędzę, niżli tam utracić
Smutne dzieciństwo...



Zamieszczamy poniżej korespondencję chłopca, Józefa Chmielarskiego ze wsi Michałów (pow. brzeski, woj. łódzkie).

Korespondencja ta drukowana była w r. 1926 w „Gazecie Świątecznej” (nr 2314). Podaje ona do wiadomości rzecz niesłychaną, ale prawdziwą. Oto wieś Michałów nie uwłaszczone po r. 1864 do r. 1919, również i w ciągu całego 20-lecia międzywojennego z piętna pańszczyźnianego nie została wyzwolona. Jakież światło na burzazynno — obszerniejsze rzuciła ta niesamowita historia.

MICHAŁÓW jest niedużą wioską w pow. brzeskim pod Kolaszkami w woj. łódzkim. W roku 1852 istniała pod nazwą zarobkowo czynszową wsi Michałowa tak jak i sąsiednie wsie Łazanów i Rokieliny.

Na uwłaszczenie z roku 1864 wieś nie skorzystała, gdyż ówczesny właściciel majątku Brujewicz do uwłaszczenia nie dopuścił. Wiek nadal Michałów pozostał wsią czynszową, placąc po 2 ruble z morga.

Po odzyskaniu niepodległości mieszkańcy uniesieni radością wierząc, że swój własny polski rząd, naprawi krzywdy wyrządzone przez wroga, w początku 1919 roku posłali do Warszawy podanie o uwłaszczenie. Jakoż ministerium rolnictwa odpowiedziało, żeby czekać, aż wejdzie ta sprawa na drogę ustawodawczą. No i czekali tak z nadzieją i wiarą w pomyślną przyszłość. Tymczasem urzędy nałożyły podatki zamiast skarbowych samoistne, przystosowane do wsi Łazanowa.

Było to jesienią 1926 roku.

Zwołano wszystkich gospodarzy wsi Michałowa do urzędu gminnego i spisano, ile kto posiada ziemi, zażądano najstarszych aktów rejestralnych oraz kwitów czynszowych. Nie przeczuwając nic złego, myśląc, że są to kroki poczynione ku uwłaszczeniu, wszyscy chętnie to żądanie wypełnili.

W kilka tygodni zaś później zjawili się urzędnicy z województwa i zawiadomili gospodarzy wsi Michałowa, że posiadana przez nich ziemia jest własnością skarbu państwa i wchodzi w skład majątku państwowego Łazanowa, z którego nadal z ziemi korzystać, obowiązany jest płacić dzierżawę za ubiegłe lata, począwszy od 10 listopada 1918 roku, zrobić umowę dzierżawną na następne lata i dopiero prosić o kupno.

Przedzej by się każdy spodziewał gromu z jasnego nieba, niż zalewiania sprawy w ten sposób.

Długie zabiegi ze strony wsi nie przyniosły żadnego skutku, gdyż nikt nie chciał przystać na warunki, a urzędy wojewódzkie nie chciały zrozumieć krzywdy wyrządzonej przez niewłaszenie i w roku 1928 wytoczył sprawę gospodarzom Michałowa o zaległą dzierżawę, grożąc usunięciem z zajmowanych gospodarstw (eksmisją).

Początkowo sprawy sądowe toczyły się w Łodzi, gdzie województwo przegrało. Skierowano ją do Sądu Okręgowego w Piotrkowie. Tutaj po kilku rozprawach sąd przysądził mieszkańcom Michałowa płacić czynsz a nie dzierżawę, z czego byli niezadowoleni.

Jenerałna prokuratura, działając w imieniu i na rzecz skarbu Państwa polskiego, również niezadowolona przyjęła tę sprawę i skierowała do sądu apelacyjnego w Warszawie. Włókła się tam kilka lat, gdyż z różnych powodów do skutku nie dochodziła i ostatecznie w roku ubiegłym 1935 sąd apelacyjny w Warszawie skończył sprawę. Ale też gospodarze nie otrzymali tytułu własności.

Do Najwyższego Sądu nie doszło, a opiekę nad nami objęła Dyrekcja Lasów Państwowych i skierowała sprawę do sądu grodzkiego w Tomaszowie Mazowieckim nie o dzierżawę, lecz o czynsz, każdemu imiennie, z osobna, gdyż dotych-

czas było oskarżonych dwóch gospodarzy, a wieś cała się broniła. Mieszkańcy wsi Michałowa wywiezieni tymi przekłętymi sprawami, które dużo kosztowały, bo adwokaci potrafili brać po 500 zł od sprawy, a i urzędy państwowe po 100 zł za znaczki stemplowe od podań, starali się pchnąć tę sprawę na sejm, co też jeden z posłów sejmowych (Maksymilian Miłgaj Malinowski) przyrzekł zrobić, gdyż kilka razy przyjeżdżał w te okolicie i nawet dobrze umiał gadać i użalać się nad niedolą wiejską. To też niektórzy uwierzyli w jego dobre chęci pomożenia w naszych kłopotach. Mocno się zawiedli, bo gdy został senatorem z mianowania, to wcale nie chciał gadać.

Jeździł przedstawiciele wsi w początkach bieżącego roku do ministra rolnictwa Poniatowskiego i skutek był taki, że składowali nam ziemię, za 2 ruble wypadło płacić 5 zł 32 gr., co było za drogo. Po załatwieniu spraw w ten sposób, czekaliśmy cierpliwie na wynik ostateczny, który nam przysłał w pierwszych dniach miesiąca po żniwach z zawiadomieniem, że roczny czynsz z morga wynosi 5 zł 4 gr., które trzeba płacić przed pierwszym listopada, oraz zaległy czynsz za 5 lat wstecz. Polecają składać podania, to rozłożyć na raty oraz wylczyć różne opłaty za nabycie „konsensu”, opłaty stemplowe i radzą by każdy wysłał akty rejestralne lub odpisy poświadczające przez wójta to za odpowiednią wykupem, jaki nam wyznacza, każdy będzie mógł nabyć swoją ziemię na własność.

To już doprawdy jest dziwne, że ziemię na kresach wschodnich pozajmowane samodzielnie w czasach wojennych lub też po wojnie, o bjęto prawem uchwalonym przez sejm. Naszej zaś krzywdy władze państwowe nie mogą należeć zrozumieć i naprawić.

Józef Chmielarski

BRONISŁAW CHECIŃSKI

Notatki z podróży

Dziwny / początek

Staliśmy okurat przed sklepem, kiedy do filii GS-u w Janiszowicach przybył nowy kierownik. Podjechała bryczka. Na koźle siedział woźnica, człowiek w sile wieku, rumiany na twarzy, z kepiastymi wąsami, traskaniem z bicia oznajmił przybycie wszystkich trojga. On bowiem był ojcem paniemki, która z głębi bryczki zachwycała uiośnianym wdziękiem, a ona narzęconą nowego kierownika sklepu. Ten trzymał się ceremonialnie jak kanonik na procesji parafialnej. Woźnica zlał pierwszy i z traskiem otworzył sklep. Wtedy paniemka wbiegła do wnętrza a ostatni pasażer uniósł się zwolna na bryczce, rozjeżdżał wokoło, kiwnął głową kilku przyglądającym się chłopom i nagle — patrzcie na nas — przytknął kilka razy w podgardle. Osobliwe. Znalazłem się wśród najbardziej ciekawych. Wchodziliśmy kolejno do sklepu.

Pierwsza informacja — Fundek (woźnica) rozpala ogień w piecyku. Iksia (córka) na drabince za ladą. Druga informacja — Koroliewicz (nowy kierownik) pyta czy dużo u nas średniaków, ale takich większych...

Trzecia informacja — miadłem ja dostarczyć. Piecyk już buzował. Pod oknem do lemoniady w szklankach Koroliewicz dotewał „ćwiartkę”. Paniemka patrzyła skromnie na piecyk.

Zagulgotało. Woźnica otarł głośno wąsy. Kierownik zaś jakby przed nim stał tłum ludzi, zakrzyknął. — A teraz do Kamiennej! I wyszli. Może dlatego nikt nie pytał, com widział. Bryczka zaturlotała. Chłopi poczęli się rozchodzić. Patrzyłem uparcie — stanęła, chyba naprzeciw Grzaskiego, — „większego średniaka”.

Twarde księżaki

Znam Złaków Borowy nie od dzisiaj. Przemierzylem te strony wzdłuż i w szerz przed wojną. Byłem wówczas wędrownym agentem firmy fotograficznej. „Wsiowy i oblatany” — mniemali — łatwiej chłopów namówi na „portret z emalią”.

Było to w maju tego roku. Przysiadłem się na wóz. Na dyndającej tabliczce odczytałem: Józef Gładoch, Złaków - Borowy. Znalłem go, ale nazwisko wyleciało mi już z pamięci. Średniak na 7 ha. Rozgadaliśmy się. Mijały nas kobiety w barwnych, łowickich wełniakach a Gładoch, zsunawszy na tył głowy czarny, księżacki kapelusz, wylizwał tegoroczne zobowiązania gromady. Wier pierwszy — na urodziny Prezydenta — wyżywienie drogi na trzech km. Gotowa była przed 18 kwietnia. Drugie — za kontraktowaną ponad plan 22 ha buraka cukrowego. Zakontraktowali. Trzecie — obielić drzewka owocowe i kamienie przydrożne na 1 Maja. Jechaliśmy właśnie taką drogą, jaśniała odświeżona. Czwarte — wykończyć boisko szkolne. Piąte — zbudować zbiornik na wodę przed letnimi suszami. Było jeszcze i szóste. O nim Gładoch napomknął tajemniczo, nie rozgadując się, że zaś miadłem dość tych wylizowań, nie dopytywałem.

Właśnie zatrzymał nas Grzegorz, sąsiad Gładocha. Tego dobrze pamiętałem. Zajął na tył wozu, który wyglądał jak jarmarczna buda i cmoknął. — Dwa? To ile już razem?

— Będzie teraz 42.

— Czego? spytałem.

— A tuczników. Zobowiązaliśmy się dać ponad plan 100. Gładoch wiezie teraz 2, to brakuje nam jeszcze 58. Dopiero maj, chyba zdążymy.

Gładoch zamiast odpowiedzi, sięgnął do czarnego kapelusza i z namaszczaniem ustawił go równiuseńko na głowie. Twardy Księżak...

Co kto lubi

Sekretarza GRN, Stasińskiego, zastałem przy czyszczeniu motocykla. — Widzicie obywateli, niedziela, a tu człowiek musi się brudzić, nawet rękę podać nie można. Jakby nie było, dobro społeczne — trzeba szanować. A co do odczytu, zgłoszcie się u Komendanta Straży Pożarnej. On jest członkiem naszej komisji KO (kulturalno-osiwiatowej). Zastaniecie go, nie bójcie się. Co niedziela organizuje zabawy taneczne. Martwiecie się o odczyt? Bójcie się Boga. Wymarzona sytuacja. Są ludzie, w dobrych humorach, jak to na zabawie. Muzykanci — z samych Kolaszek — odpoczną sobie a Wy w przerwie... Życzę powodzenia, psiałość, nawet rękę podać nie mogę.

Komendanta zastałem przy innej czynności. Jedną ręką układał na bufcie kanapki z jajkiem i śledziem, drugą stemplował bilet z biletemi wstępu, głową zaś potakiwał moim słowom w rytm wybijających biletów.

— Jasne, jasne. Od przytyku głowa nie boli. Zazwyczaj wpuszczamy ludzi na salę. Zagrają kilka kawałków a w przerwie odczyt. Przedtem? Osobno? O, nie, u nas inaczej nie można, trzeba mieć zmysł organizacyjny. Wszystko swoją koleją. Wy do sekretarza, sekretarz Was do mnie a ja w przerwie...

— A dokąd jedzie sekretarz?

— Na ryby. Na ryby. Każdy ma swoją niedzielę. On — ryby, ja — zabawę. Wy — odczyt. Co kto lubi. Ja lubię na zabawie tańce bardziej światowe. Dlatego do naszego Dątkowa—Dużego sprowadziłem orkiestrę aż z Kolaszek. Z szykiem, orkiestra.

Zagrała. Raz, drugi, dziesiąty. Wreszcie Komendant zapowiedział mój odczyt. — Drugi nie będzie, tyle co panowie orkiestra zjedzą kolację. Wstąpiłem na podium. Na sali szmer. Młodziś hurmem wysypywała się na drogę. Zostało około trzydziści osób. Komendant rozłożył ręce.

— U nas w Dątkowie, nie można powiedzieć, wesoło, zabawa w każdą niedzielę, ale z odczytami nie idzie. Nie lubują w odczytach.

— A ci co zostali?

— Ci nie miejscowi. Nie mają blisko do domu, muszą więc czekać na drugą część zabawy.

Wygłosiłem tedy odczyt wobec zamieszanych. Czasu starczyło. Nawet zaczęła się dyskusja. Ktoś pytał, czy nie ma takich księżek jak „Hela traktorystka”, tylko żeby były jeszcze lepsze, ale już panowie-orkiestra zrobili tusz. Zabawa znów się rozpoczęła.

Nazajutrz byłem z odczytem w sąsiadującym o 4 km Dątkówku Małym. Jakież przeżyłem zdziwienie, kiedy otoczyła mnie ta sama, co wczoraj młodzież. A więc nie z konieczności stuchali w Dątkowie Dużym.

Bronisław Chęciński



Foto: J. K. Maciejewski

WŁADYSŁAW BORK

Pokrótce o wszystkich naszych sprawach

NASZA gmina Chwaszczyno stanowi zaplecze trójmiasta Gdynia—Sopot—Gdańsk. Leży na krawędzi wyżynnego pasa — Szwajcarii Kaszubskiej i Pojezierza Pomorskiego. Piękne te strony — obfitość lasów, jezior i rzeczek, pagórkowaty teren przyciąga turystów z całego kraju. Ale ziemie nasze nie są wydajne, przeważa piasek. Ludność kaszubska jest — jeżeli można tu użyć uogólnień — zamknięta w sobie, małowarna, silnie wrosła w macierzyste środowisko, mocno przywiązana do swoich skrawków ziemi. Przybysz z zewnątrz, jeżeli nie jest przygodnym wędrownikiem, czy turystą, a zamierza pozostać w tych stronach na zawsze, przyjęty będzie niechętnie. Bo też trzeba powiedzieć, że owi przybysze — to w latach zaborów i kapitalizmu — przeważnie wysłannicy rządu pruskiego lub sanacyjnego. Do dzisiejszego dnia żyją w tradycji ustnej opowieści o urzędnikach, nauczycielach i księżach, służących zaborcom i burżuazji polskiej jako narzędzia wywierania nacisku, gwałtu i przemocy. Szczególnie żywo zachowała się pamięć walk o zachowanie polskości.

Nasze strony fotografowano, pokazywano za granicą, badano naszą gwarę, ale w gruncie rzeczy Kaszuby pozostawały samotne i opuszczone, zaniedbane pod względem kulturalnym i gospodarczym. Miał to być jakiś rezerwat, chciano byśmy żyli prymitywnie jak Indianie w USA i to po to tylko, by syty, zadowolony mieszczanin czasami mógł podziwiać „uroczy zakątek, niekiedy cywilizację” — jak pisało w przedwojennych przewodnikach dla turystów.

Pozostawiła tu wojna dwukrotnie swoje ślady: w czasie tragicznego września i u jej schyłku, kiedy to armia radziecka gromiła uciekających w popłochu faszystów. Zginęło wielu synów Kaszub, zamęczonych w Piaśnicy, Stutthoffie i Potulicach. Spłonęło wiele wsi, do wielu gospodarstw nie powrócili już gospodarze, ziemia porosta chwastami.

Walka z chłastami, a właściwie z odłogami, trwała prawie do 1949 roku i stanowiła pierwszą w naszej gminie wielką akcję gospodarczą. Chłopi dobrze wiedzą, jaka ciężka jest walka z zielskimi, które odrasta niezwykle szybko. W tej właśnie akcji ujawniła się prężność, energia i pracowitość kaszubskiej biedoty. Jej w głównej mierze należy zawdzięczać doprowadzenie likwidacji odłogów do końca. Małorolni Gackowski Mieczysław i Hebel Bernard stali się prawdziwymi bohaterami. W roku 1950 słodki łubin pokrył zachwaszczoną kiedyś pola, na lepszych ziemiach wyrosły pierwsze kartofle, zasłone nawozem sztucznym.

Drugi etap naszej walki o pełną produktywność gminy, to zmowa troška chłopów o wyższą wydajność z ha. Jeszcze w 1949 roku dawał nam hektar zaledwie 7 q żyta. Próbnymi dmił z roku bieżącego wykazują 10 a nawet 12 q z ha. Jak na nasze warunki jest to niewątpliwie sukces. Poszukajmy więc przyczyn. Decydującą rolę spełnił tu człowiek, małorolny Kaszub, którego doświadczenia produkcyjne rosły z roku na rok. Podnieśliśmy hodowlę, równocześnie wzrosła ilość obornika, bez którego nasze ziemie objęte się nie mogą. Zacieśniając się sponia ekonomiczna wsi z miastem, wyraziła się najpierw tylko „jednostronnie”. Otrzymywaliśmy coraz więcej nawozów, wzbogaciły się nasze SOM-y, późniejsze GOM-y w maszyni rolniczej. Tak więc wysiłek klasy robotniczej wyposażał naszych chłopów w narzędzia produkcyjne. My natomiast nie odwdzięczyliśmy się w pierwszej fazie tak, jak-



Foto — CAF

by należało. Nie rozumieliśmy, co to znaczy w terminach: oddać zboże, w terminie odstawić tuczniaki, na czas dowieźć zakontraktowane rośliny przemysłowe. Ludzie sprzedawali państwu tuczniaki w dużej ilości, ale niejako tylko „z dobrej woli”, bojąc się terminowego zobowiązania. W ostatnim roku rozumieliśmy, że te akcje i terminy, organizują i usprawniają naszą produkcję.

Każda chyba gmina posiada pewnie sobie tylko właściwe cechy gospodarcze. Szczęśliwie się stało, że dostrzeżono taką naszą cechę i powstał punkt skupu owoców leśnych. Punkt prowadzi — „Las”. Nasze kobiety słyną ze zrzeczności w zbieraniu jagód, jeżyn i grzybów, w które obfitują nasze lasy. To nie jest drobniaczek, ponieważ kobieta nie traci czasu na chodzenie do miasta, gdzie raczej prosi, żeby kupiono niż sprzedaje. Ten zaoszczędzony czas poświęca hodowli, nie mówiąc już o opłacalnej cenie na mieście.

Są jednak w naszych stronach sprawy nie rozwiązane należycie. Oto np. pomoc sąsiedzka kuleje. Jesteśmy społeczeństwem powojennym, wiele rodzin pozostało bez ojców. Jesteśmy społeczeństwem budującym socjalizm, w którym młodzież zdobyła nieograniczone możliwości nauki i awansu, wskutek czego słusznie opuszcza rodzinne wioski. Jest także i inna przyczyna opóźnienia się lub co gorzej niewykonania obowiązków wobec państwa. Niech się moi sąsiedzi na mnie nie obrażają, ale ja muszę napisać, że za mało w naszej gminie korzystają chłopi z pożyczek państwowych. „Z państwem lepiej być na czysto” — powiada Jan Bruhn, średniak z Kołeczkowa — a przecież dlatego wlezie się na konia, gdy nie maśa konia. Pożyczka na pewno postawiłaby Bruhna na nogi. Poważniejsza akcja uświadamiająca dopomoże przy rozwiązaniu tych nieantagonistycznych w swej istocie konfliktów.

Gorzej jest natomiast ze współzawodnictwem. Tu mamy do czynienia z wroga robotą. Bo i pomyśleć tylko. W tegorocznej akcji przygotowawczej do żniw współzawodniczyli małorolni chłopi — Zuchliński Jan i Blok Augustyn, Frankowski Jan i jeszcze kilku innych. Osiągnęli bardzo dobre wyniki, słusznie spodziewając się zapowiedzianego i zasłużonego wyróżnienia. Tymczasem u nas co premia — to sol-

tyś ją zabiera, widać jako dodatek do swojej funkcji. A owo „premiowanie” odbywa się po cichu, gdyż chłop na pewno zaprotestowałby przeciwko takim nieznany przodownikom.

Sytuacja w GS-ie i jego gromadzkich filiach przedstawia się na ogół dobrze. Oczywiście mieliśmy w ubiegłych latach, zwłaszcza zaś w okresie mikolajkowskim rozmaitych kombinatorów, złodziei i kumotów. Dziś wszędzie na terenie gminy Komitet Sklepowe przestrzegają klasowego charakteru dystrybucji towarów. Istnieje jednak pewien poważny mankament, który można nazwać — trudnością wzrostu. Znaczące ożywienie produkcyjne gminy, wzrost wydajności z hektara, jeżyn i grzybów, wymagają odpowiedniego aparatu gospodarczego. Potrzebne nam są składy zbożowe, gdzie można by nie tylko magazynować ziarno w odpowiednich warunkach, ale równocześnie zaprawiać je w okresach przedświeżych — wiosną i na jesień. Na gminę przychodzi coraz więcej towarów, poszczególne sklepy powinny się już specjalizować według branż, tymczasem nie ma odpowiednich pomieszczeń. Być może za mało chodzimy koło tych spraw. Szczegółowo mówię o tym albo jednym, albo przynajmniej jednym z pierwszych korespondentów, przemawiających publicznie w imieniu gromad na łamach prasy. Władze gminne cechujące pewnego rodzaju niewiarą w to, że chłopów rzeczywiście obchodzi sprawa odpowiednich magazynów, czy pomieszczeń dla sklepów. Tymczasem nasi chłopcy zwracają uwagę nawet już na konieczność budowania nowych świetlic i gotowi są czynnie pomagać. Mamy już elektryczność, wcale nieźle pracują biblioteki, a z ruchem artystyczno-widowiskowym słabo. Stosunkowo nikiły udział naszych kaszubskich zespołów świetlicowych na dorocznych festiwalach nie wypływa stąd, żebyśmy nie mieli odpowiednich ludzi, żeby nie było czego pokazać. Mamy piękną pieśń, żyje tradycja dowcipnych gawęd, ale nasz wysiłek kulturalny nie jest zorganizowany. Jakże bardzo chcielibyśmy, by jak kraj nasz długi i szeroki niośle się głos naszych chorów. I na tym za niedbanym odcinku życia drogi nam Kaszub powinna się spotkać chłopska inicjatywa z pomocą władz.

Władysław Bork

WŁADYSŁAW PATOKA

Dziejów dwa okresy

Żadna dzielnica Polski nie ma chyba tyle powodów do radości z Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jak Ziemia Kaszubska.

Ziemia Kaszubska, a więc Kościerzyna, Kartuszy, Chojnice i część powiatów Bytów, Lębork i Jędrzejów 150 lat w niewoli pruskiej. Gdy w roku 1919 powstała Polska, ludność kaszubska nie posiadała się z radości. Ludzie płakali i całowali się z radości (sam pamiętam te chwile), że było im dane doczekać tej chwili, bo przecież niby powstała Polska niezależna i niezawisła, na którą czekali 150 lat.

Ale radość ta nie trwała długo. Ludność kaszubska spotkała gorzką rozczarowanie. Nie była to ta prawdziwa Polska, na którą czekali.

Rząd burżuazyjny potraktował Kaszubów po macoszemu, jako niższą klasę. Ziemię kaszubską traktowano jak jakąś kolonię afrykańską. Ludność kaszubska nie miała nic do gadania. Starostów i innych urzędników przysyłano z województw centralnych, synów obszarńskich i fabrykantów, którym chłop i robotnik musiał się kłaniać w pas.

Dzieci robotników i chłopów dopuszczane były najwyżej do ukończenia czterech klas szkoły powszechnej. O wyższym wykształceniu nie mogli oni nawet marzyć.

Z pałką gumową granatowego policjanta zapoznał się robotnik kaszubski. W czasie okupacji hitlerowskiej tak samo ludność kaszubska uciepiała najwięcej ze wszystkich dzielnic Polski. Zaraz po wkroczeniu armii hitlerowskiej rozstrzelano najlepszych patriotów — Kaszubów, zginęli z samej tylko gromady Grabowo Pom. ob. ob. Ruc Leon, Ruc Franciszek, Borzyszkowski Teodor, Muszka Leon, Kołodziejewski, Klinka, Karaszewski i Wesoła. W gromadzie Szymbark rozstrzelano 10 mężczyzn. Tak się działo we wszystkich gromadach jak Ziemia Kaszubska długa i szeroka. Bardzo wielu Kaszubów zostało wywiezionych w głąb Niemiec, gdzie wielu z nich zginęło.

W miejscach zabitych i wywiezionych Kaszubów sprowadzono Niemców z Reichu i Besarabii. Resztę Kaszubów zmuszono do podpisania III grupy listy niemieckiej narodowościowej. Kto nie podpisał, zginął w Stutthoffie.

Po podpisaniu niemieckiej listy narodowościowej, zdolnych mężczyzn zabierano do wojska. Wszystkie te

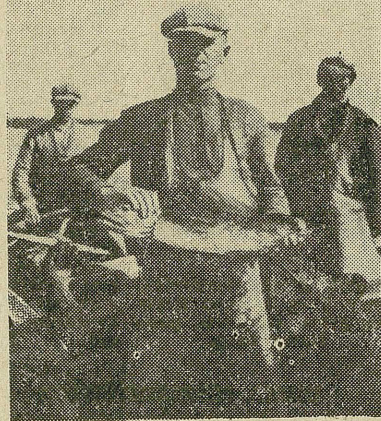


Foto J. K. Maciejewski

cierpienia ludności kaszubskiej skończyły się w dniu 8 marca 1945 r. W dniu tym zwycięska Armia Radziecka przyniosła ludności kaszubskiej prawdziwą wolność, powstała ta prawdziwa Polska, na którą czekaliśmy wszyscy. Służba folwarczna i małorolni chłopi otrzymali ziemię z reformy rolnej.

Już Kaszubi biorą udział w rządzeniu państwem. Robotnicy i chłopi zasiadają w Radach Gminnych, powiatowych i wojewódzkich. Dzieci kaszubskie mają na wsi VII klasową szkołę. Wielu kształci się w szkołach średnich, a nawet wyższych jak ob. Machnikowski Kazimierz, zdolny chłopak, syn robotnika, który kształcił się dziś w wyższej szkole w Krakowie. Ojciec jego otrzymał gospodarstwo pomieścił i od dnia 20 września 1950 roku jest członkiem spółdzielni produkcyjnej. Za syna nie nie płaci, kształcił się on na koszt państwa. Gdyś się z nim spotkał w czasie wakacji i zapytałem go czym on zamysła zostać, odpowiedział, że będzie konsulem (ma on 26 lat). Pomyśleć tylko, syn robotnika Kaszuba — konsulem. Jest to możliwe tylko w Państwie, w którym rządy sprawuje robotnik i chłop.

Władza Ludowa podniosła ludność kaszubską do godności człowieka. Dziś Kaszuba jest tak samo wartościowym obywatelem Polski jak Polacy z innych dzielnic naszego Kraju. Wszyscy bez względu na gwarę narodową jesteśmy dziećmi jednej matki Polski Ludowej.

Władysław Patoka

BOLESŁAW MACHUT

Polska dba o nas

REPREZENTUJĘ powiat Chojnice, gdzie nasza rzeka Brda leci przez nasze kaszubskie piękne mienie, przez nasze bory, przez nasze wrzosowiska. My Kaszubi, którzy najbardziej cierpieliśmy z powodu „Drang nach Osten” na nasze odwieczne ziemie, my Kaszubi z Kościerzyny, Bytowa, Wejherowa i Gdańska, mówiliśmy zawsze: Nigdy do zguby nie przyjdą Kaszuby. Zginęła dziś ta granica, która była granicą krwawą, ponieważ za nią mieszkali nasi bracia — autochtoni. Dziś tu, gdzie była granica wersalska, orze nasz piług i traktor, a nasza granica, nasza kaszubska granica, przesunęła się nad Odrę i Nysę i my Kaszubi nawiązujemy dziś do głębokich tradycji naszego narodu. W r. 1939 było nas 5.500. Kiedy ta granica została obalona, z 5.500 naszych ludzi, naszych Kaszubów, przeszło 2500 odeszło na Ziemię Zachodnią. Siedzą oni teraz w spółdzielniach produkcyjnych, w PGR-ach, siedzą na gospodarstwach indywidualnych, które im reforma rolna nadała, zajmują stanowiska społeczne — są kolejarzami, listonoszami i pilnują tej granicy, którą odzyskaliśmy dzięki pomocy ZSRR.

Nasza gmina Lipnice jest najbardziej rozległego powiatu chojnickiego, najrozleglejszego spośród 19 powiatów województwa bydgoskiego. Na jeden kilometr przypada tylko 13 ludzi. Jest to wynikiem tego, że — jak już poprzednio wspominałem — dużo Kaszubów przeniosło się do województw: koszalińskiego i szczecińskiego. Jest to ziemia piaszczysta, która nie rodzi buraków cukrowych, lecz tylko wydaje złote zboże na chleb dla naszych braci górników, żołnierzy, młodzieży kształcącej się. Ziemia piątej i szóstej klasy.

Polska dba o nas. Od chwili Wyzwolenia otrzymaliśmy trzy pełne 7-klasowe szkoły otrzymaliśmy ośrodek zdrowia z nowoczesną porodówką i bibliotekę. Otrzymaliśmy 65.000 zł na zorganizowanie akcji kulturalnej, na przebudowę świetlic, doznajemy coraz większej opieki ze strony PZGS mimo że jesteśmy najdalej oddaloną gminą

od miasta powiatowego Chojnice. Zajęchali do naszej gminy Lipnice siewniki, które podniosły wydajność z ha, to wszystko świadczy o tym, że ktoś się nami interesuje, że ktoś zna nasze potrzeby.

Możemy sobie teraz powiedzieć, że nareszcie jesteśmy wolni — tego co było przedtem, już nigdy nie będzie. Dlatego też w r. 1951 podjęliśmy zobowiązanie, że nasza najbardziej gmina w pow. Chojnickim wykona plan w dostawach zboża i ziemniaków z nadwyżką. Dumni jesteśmy, że nasza najbardziej gmina wykonała plan dostawy zboża w 107 proc., a plan ziemniaków w 113 proc. Przyczyniliśmy się do tego, że pow. chojnicki zajął I miejsce w skali wojewódzkiej w dostawie zboża za rok 1951, pierwsze miejsce w dostawie jaj, wykonując już w maju całoroczny plan skupu jaj w 100 proc.

Nasze osiągnięcia możemy zawdzięczać temu, że organy samorządu spółdzielczego nawiązały ścisły kontakt z terenem. Nasz ukończony Prezydent Tow. Bolesław Bierut na VII Plenum Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej przyznał nam Wielkiego Lenina, że „państwo jest silne świadomością mas”. I tak jest u nas w powiecie. Nasza Gminna Spółdzielnia w wykonaniu planu skupu zboża nawiązała ścisły kontakt z Gminnymi Radami Narodowymi i organizacjami politycznymi: Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą, Zjednoczoną Stronnictwem Ludowym, Związkiem Młodzieży Polskiej, a nawet Związkiem Nauczycielstwa Polskiego. Dlatego, że praca nasza była w ten sposób zorganizowana — osiągnięcia tak duże wyniki, mimo że i na naszych terenach spotkaliśmy się z nieurodzajami i grabieżami. A sprawa ta była wybitnie trudna do przeprowadzenia na naszym terenie. Jednak zadanie swoje w stosunku do Państwa Ludowego większość chłopów pracujących spełniła. Chciałbym tu podkreślić stanowisko chłopów kaszubskich, którzy czując się w pełni Polakami stara się zaspokoić potrzeby całego społeczeństwa.

Bolesław Machut

Kronika radziecka

Issakowski o kunszcie poetyckim

KRZYTYKA radziecka kładzie olbrzymi nacisk na konieczność pracy pisarza nad formą utworu. Używa ogólnie słowa „mistrzostwo” (majsterstwo? mistrzostwo? kunszt?) na określenie nieskazitelnie doskonałej formy literackiej. Wielkość stalinowskich czasów woła o godny epoki wyraz artystyczny. Stąd ciągła dążność do podnoszenia poziomu literatury, gorąca dyskusja na temat jakości środków artystycznych.

Krytyk radziecki Z. Papiernyj pisze: „Prawdziwe mistrzostwo rodzi się w trudzie; w toku pracy nad rozwiązywaniem zagadnień, wysuwanych przez epokę; manifestuje się w nim dążność do wyrażenia tych zagadnień w poezji”. A więc „mistrzostwo”, doskonałość wiersza, to sprawa jakości wyrażającej się w nierozdzielalnym związku treści i formy. Elementy for i a, ocenia się wedle tego, jak wyrażają one treść wiersza, prze-wodnie idee epoki.

Jak pisać? Czy dobry wiersz ma swoje tajemnice? Czy istnieje tradycja w poetyckim fachu? Przekazywane z pokolenia na pokolenie dzieciństwo? Czy każdy wybitniejszy poeta, obdarzony odrobiną indywidualnością, posiada własne sekrety kunsztu? Doniosłe znaczenie mają odpowiedzi na pytania. To też w Związku Radzieckim między poetami i czytelnikami istnieje ciągła wymiana myśli i doświadczeń. Czytelnictwo poezji jest tu bardzo rozpowszechnione. Poeci radzieccy otrzymują stale listy z recenzjami, jak ten czy ów utwór jest „dobry”, „przez ogół czytelników”, a zarazem z pytaniami, jak autor osiągnął swoją pozycję literacką, jaką ma metodę pisania. Poeci radzieccy odpowiadają chętnie. Dzielą się sumą doświadczeń, odsłaniają tajemnice własnego kunsztu i nie skąpią miłośnikom poezji cennych rad i wskazówek. Właśnie z takiego kontaktu z czytelnikami powstała nader interesująca książeczka M. Issakowskiego pt. „O kunszcie poetyckim”.

Zanim przejdę do jej omówienia, kilka słów o autorze. Michał Issakowski jest dziś najbardziej popularnym, najszersze czytany poetą spośród żyjących mistrzów słowa poetyckiego w Kraju Rad. Tę popularność zdobył wierszami, w których w ludowej prostej piosenkarzkiej formie potrafił zawrzeć wielkie przeżycia i wzruszenia ludzi epoki stalinowskiej. Jest rzeczą godną uwagi, że Issakowski nie pisze pieśni na obałunek kompozytora. Jego poezja od chwili narodzin posiada znamiona ludowej pieśni — jest to rodzaj literatury, którego tradycją wywodzi się z Kolcowy, Nikitina i Nikrasowa. Odwrotnie — to właśnie poezja Issakowskiego natchnęła głosnych kompozytorów radzieckich do napisania muzyki. Śpiewany wiersz obdzieli następnie cały Związek, a nawet przekroczył odczyste granice. Któż z nas nie zna wiersza: „Rozkwitają jabłonie i grusze”? A Matyszko w toniku poetyckim „Za szynem morzem” opowiada, że „Katusza” słyszał w Ameryce śpiewaną przez robotników.

Miłośnicy poezji są zawsze ciekawi jego biografii. Mogą więc sięgnąć do krytyczno-biograficznego szkicu W. Aleksandrowa pt. „Michał Issakowski” („Sowieckij pisatel”, Moskwa, 1950), obfitujące w interesujące informacje o życiu poety. Issakowski urodził się w r. 1900 na Smoleńszczyźnie w biedniackiej rodzinie. Dzieństwo Issakowskiego upłynęło wśród nędzy. Opowiada o niej w swoim życiorysie. Sam nauczył się czytać i pisać. Później chodził do wiejskiej szkoły. W 12-tym roku życia zaczął pisać wiersze. Do gimnazjum trafił dzięki pomocy nauczyciela; z kolegami — wyznaje poeta — raczej się nie przyjaźniłem. Były to przeważnie dzieci zamożnych rodziców, a ze mnie był „chłop”. Nasze gusty, zainteresowania, możliwości były zupełnie różne. Od dziecka trażył Issakowskiego dwie plag: nędza i choroba oczu. Przez pewien czas chłopcu groziła utrata wzroku. Z braku środków materialnych Issakowski gimnazjum nie skończył. Rewolucja stała się punktem zwrotnym w jego życiu. Jesienią 1918 r. Issakowski wstąpił do Partii, został redaktorem gazety w swoim ojczystym powiecie. W 1921 r. znalazł się w redakcji dziennika smoleńskiego, zatytułowanego „Droga robotnicza”. Odtąd stale pracował w dziennikarstwie, aż do chwili, kiedy ciężka choroba oczu zmusiła go do zrezygnowania z zajęć redaktorskich. Wtedy Issakowski osiadł w Moskwie i całkowicie poświęcił się pracy literackiej. Jego debiut poetycki (1922) spotkał się z ujemną oceną krytyki; tylko Gorki napisał w „Izwiestiach” wzniesający artykuł o nowym poecie. Issakowski pisał dalej i powoli zdobywał rozgłos. Trwała, szeroka popularność przyniosła mu te wiersze, do których kompozytorzy ułożyli muzykę. Poeta wyznaje, że próbował później pisywać wiersze „pod gotową muzykę”, ale przedkto z tego zrezygnował. Tekst wypadł słabiej, a pieśń — jak oświadcza Issakowski — przeważ-

nie wtedy jest dobra, gdy jej słowa posiadają niezależność od muzyki, własne artystyczne znaczenie. Issakowski za swoje poezje został odznaczony orderem Czerwonego Sztandaru i Orderem Lenina. W 1943 otrzymał Nagrodę Stalinowską za wiersze i pieśni: „Katusza”, „I kto go odgadnie”, „Szedł ze służby” i inne. W 1949 r. Premia Stalinowska została wyróżniony zbiór „Wiersze i pieśni”.

Obecnie wydana broszurka „O kunszcie poetyckim” stanowi zatem teoretyczne podsumowanie dotychczasowej drogi poetyckiej Issakowskiego przed czytelnikami z pokolenia czytelników, którzy pisali doń listy.

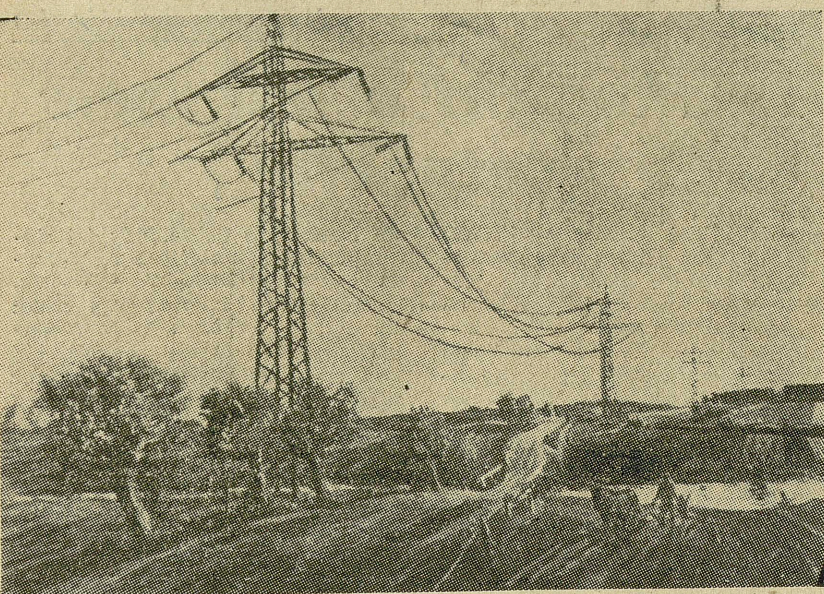
Na początku lat trzydziestych Issakowski pracował w redakcji „Gazety Chłopskiej”. Kiedyś obliczył, że w ciągu jednego tylko miesiąca od wydawnictwa naphnęły wiersze od czterech tysięcy(!) czytelników. Zastanawiając się nad tym pędem do pisania wierszy, Issakowski zauważa: fakt ten należy ocenić bardzo pozytywnie. Świadczy on bowiem o ogromnym wzroście kulturalnym naszego narodu, o najbardziej ścisłej i bezpośredniej więzi, łączącej społeczeństwo ze sztuką, z literaturą. Świadczy też o tym, że mamy dużą liczbę utalentowanych ludzi, z których środowiska wychodzą (i będą wychodzić nadal) coraz to nowi poeci. Ale zjawisko to ma również swoje strony ujemne. Issakowski podkreśla, że pisanie wierszy wymaga przecież talentu poetyckiego, umiejętności wytrwałej pracy nad materiałem — surowcem poetyckim. A wielu ludzi poezja przyciąga rzekomo „lekkością” gatunku; wydaje im się, że wiersz pisze się sam, lekko, bez pracy warsztatowej i znajomości życia. „Proza na przykład — stwierdza Issakowski — chociażby tylko dlatego, że cechuje się obszerniejszymi rozmiarami, że mieści w sobie dużą ilość faktów życiowych, które pisarz powinien znać, brnąć, przemysleć i zbadać, nie przyciąga takiej ilości ludzi jak poezja. W poezji wszystko wydaje się lekkie i proste — napisać, człowieku, parę linijek do rymu, ustawiliś je pionowo — i utwór gotowy!”

Issakowski walczy z fałszywym mniemaniem, jakoby pisanie wierszy nie wymagało żadnego trudu. Znakomity pisarz wpaść czytelnikom przekonanie, że twórczość poetycka jest rodzajem pracy produkcyjnej, że wymaga fachowego przygotowania, uśmiałej pracy nad sobą i nad poetyckim surowcem. Do zawodu poety należy przygotowywać się przez studia podobnie jak do fachu inżyniera, lekarza czy pedagoga. „Nie wiadomo dlatego wielu z moich korespondentów uważa, że można pisać wiersze będąc półanalfabeta; rzekomo wydawca chce pisać wierszy”. Issakowski wypowiada nieubłaganą walkę ignorancji i dyletantryzmu w zakresie sztuki poetyckiej.

Czy istnieje sekret pisania dobrych wierszy? Issakowski odpowiada: „Ogólnego, uniwersalnego, przydatnego w każdym wypadku sposobu pisania wierszy nie ma i nie może być... „Sekret” poetyckiej twórczości poeta może odnaleźć jedynie sam i do tego w sobie samym. Każdy poeta musi „odkrywać” ten sekret dla siebie na nowo, jak musi odkrywać na nowo i własną poezję... Posiadać ten „sekret” to przede wszystkim znaczy — być w twórczości samodzielnym, to jest mówić w sposób właściwy tylko sobie a nie komu innemu, mówić o tym, o czym możesz tylko ty powiedzieć, ponieważ sam to widziałeś w życiu, przeżył, przeżyłeś, zrozumiałeś i wyciągnął wnioski. Przy tym tematem rozmowy musi być coś wielkiego, ważkiego, ciekawego nie tylko dla samego poety, czy wąskiego kręgu odbiorców, ale i dla najszerszych warstw czytelników”. Credo poetyckie Issakowskiego jest proste i jasne: poezja powstaje z osobistego przeżycia, które musi zarazem być przeżyciem powszechnym. Opanowanie techniki mieści się w pierwszym zasadniczym warunku, wieńczy dzieło, ale samo przez się nie wystarczy; podobnie jak nie daje rezultatu zdolność indywidualnego przeżywania bez odczuwania przeżyć ogółu, bez zdolności wyrażania treści wewnętrznej w odpowiedniej formie.

W poezji musi się wyrazić także charakter samego poety, jego indywidualne ludzkie cechy. Issakowski ostrzeżenie przed pogonią za „oryginalnością”; nie można sztucznie wymyślić własnego poetyckiego głosu”. Człowiek wewnętrznie ubogi nie napisze dobrego wiersza; ma niewiele do powiedzenia ludziom. Dlatego trzeba uczyć się od życia — przez aktywny w nim udział. Poeta musi być produkującym człowiekiem swej epoki, musi wiedzieć więcej od innych, czuć głębiej. Lecz poeta, osiągnąwszy swój „sekret” pisania wierszy, nie może stosować go w każdym wypadku. Poezja wyraża się wtedy w sztampie. Każdy nowy wiersz musi przynosić odkrycia nowego, indywidualnego sposobu poetyckiego odzwierciedlenia rzeczywistości.

Grzegorz Timofiejew



Mal. Włodzimierz Zakrzewski

KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI

Jak hrabia robił wybory

I pomyśleć przychodził wtedy taki jeden z drugim i powiadał — ady, sąsiadeczku, żyję się wam tu, jak u pana boga za piecem. Luft macie za darmo, od słońca wam podatku nie ściągają, a te widoki przepiękne! Lepsze jak w kirie — a bilety płacić nie trzeba! — wykręcał jęzorem, żeby za „świeciego“ uchodzić i pyskować.

— A po wyborach to się wam dopiero poprawi — zobaczycie. Chleba będzie pod dostatkiem, a kto wie może i wódki? Tylko głosujcie na hrabiego Góluhowskiego!

— Jednemu się tylko nie mogło nadziwić, że nie wzięli chłopcy kłoni i nie pogonili pyskaczy po tych pięknych widokach, przykładając im poniżej pleców po drodze. Cierpiący naród wtedy był w tej naszej Lechówce. A może taki zastrachany?

Józef Pierołek zastanawia się przez chwilę.

— Myśle, że zastrachany. Bo przecież jak zrobili zebranie we dworze, dali chłopom wódki i zaczęli opowiadać o tym, jak to hrabia Góluhowski, kandydat na posła, dobry i miłosierny człowiek i jak potem jeden po pijanemu wstał i zapytał co będzie z reformą rolną, którą jeszcze w 21 roku obiecali — tośmy go przez miesiąc potem we wsi nie widzieli. A jak wrócił stowem się odezwać nie chciał, tylko zaufaniem pokazywał czarne znaki, jakie mu od pałki zostały...

Tak — zastrachany i gnębiony biedą był naród w Lechówce. A najgorzej — w 35 roku...

— Ziemia we wsi Lechówka, pow. Gródek Jagielloński nie była najgorsza. Cóż z tego, kiedy każdy miał jej tyle, co kot napłakał. Pierozkowie mieli np. trzy zagony. Dzieci o to było u nich pod dostatkiem. 7-ro, widąc pan bóg biednym sprzyja — jak się mówiło. Józef był coś czuwały z kole. Kiedy był jeszcze odrobina hutasa zawziętą w zgrzebnią pieluchę, to było jeszcze pół biedy: wspólnika do matczynego pokarmu nie miał. Kiedy podrośli, zaczęła się cała bieda. Starsi bowiem oracza, wyrostki znane z wiecznego niedojedzenia, ostępną kartofel potrafili z garnka porwać, nim się do niego dopchał. Krótko mówiąc, Józef Pierołek, zwany wtedy w rodzinie Józkiem, od zarania życia poznał tę gorzką prawdę, że w życiu przepłaci się niedzą z biedą i głód z chłodem.

Ksiądz proboszcz, którego kazań słuchał Józik co niedziela, mówił, że to nawet dobrze.

Bogactwo jest co prawda cnota, ale tylko u wysoko urodzonych. Natomiast jedynym prawdziwym bogactwem ludzi nisko urodzonych jest ubóstwo — zwykły mawiał ksiądz proboszcz. Podobnie zresztą ksiądz proboszcz wypowiadał się o nauce:

— Nauka wiedzie ludzi prostych na piekielną drogę występku.

Aby Józka i inne dzieci uchronić od piekła, stworzono we wsi tylko 4 klasową szkołę. Żeby nie miał czasu na występne myśli, od 9 lat musiał pasać krowy, a od 14 robić w lesie za marną groszę.

Trzeba jednak powiedzieć, by nie skrzywdzić przedwojennego ustroju niesprawiedliwą oceną, że wszystkim to tak źle nie było. Np. Tyszkiewiczowi. Tyszkiewicz nie głodował — kurczaki jadł z mizerią, do wód latem jeździł i rząd chwalił. Nawet robić nie musiał, bo przecież robotników do jego liczącego 2.000 ha lasu godził mu rządca. Nie było również źle Góluhowskiemu z sąsiedniej wsi. Zresztą trzeba mu przyznać, że był to pan miłosierny i porządny, chłopca palcem nie dotknął nawet wtedy, kiedy mu kilka patyków z lasu na opał wziął. Robił to za niego rządca i nie palcem a nakaję, a pan miłosierny tylko odrobił jeszcze kazań dwa dni bez zapłaty.

Klemens Krzyżagórski

JOZEF CZAKOW

Brak rąk do pracy...

CZĘSTO się czyta w naszej prasie i słyszy na zebraniach gromadzkich różne uwagi i krytyki pod adresem rolnictwa, że nie nadąża za rozwojem przemysłu i wlecie się zóiwim, krokiem za nim, utrudniając tym całą akcję rozwoju kraju.

Otóż mieszkam na wsi całe życie podobnie jak inni współziomkowie i dochodzę do wniosku, że najważniejszą przyczyną hamującą rozwój rolnictwa jest brak ludzi do pracy, tak w państwowych gospodarstwach jak i w prywatnych. Prawie wszystkie młode dzieje wiejska u nas pracują w przemyśle, a na roli z młodych nikt nie chce pracować, gdyż w przemyśle mają o wiele lepsze warunki zarobkowania jak w rolnictwie.

Na przykład taki młody na swoim 6 ha gospodarstwie, to zarobi do 20 zł dziennie, a miesięcznie do 600 złotych. A w przemyśle to zarobi przeciętnie 600—800 złotych, a jeśli zostanie przodownikiem, to i więcej. Dlatego u nas pracują w rolnictwie sami starzy i dzieci, nie więc dziwno, że uprawa roli i hodowla szwankuje.

Przemysł zaś mając dostateczną ilość młodych ludzi do pracy i techniki kroczy naprzód, a rolnictwo pozostaje w tyle. A przecież uważamy, że wyżywienie kraju ma duże znaczenie i należałoby się poważnie nad tym zastanowić, aby gospodarke rolną podnieść.

Mnie się wydaje, żeby temu stanowi na przyszłość zapobiec, należałoby zahamować częściowo odpływ młodych ludzi z roli.

Józef Czakov

Kończyce Małe, pow. Cieszyń
woj. katowickie

WANDA AUGUSTYNOWICZ

A myśmy na to znaleźli radę

CZYTAJĄC list ob. Czakowa Józefa, choć ten obywatel nie pisze, na jakim gospodarstwie gospodarstwie i ile posiada ha, to jednak doszedł do przekonania, że ów ob. Czakov był i jest kulakiem i wyzyskiwaczem, który na swoją postać tygrysa wdziewa skórę jagnięcia, pisząc do Ciebie Droga Redakcjo.

„Wyzwalanie czasu” w Barwicach

Są po gromadach pomyślnie. Somy nie przeszły jeszcze do POM-ów i nie są GOM-ami, a o wyposzczeniu sklepowo do akcji zwinęły ani szychu ani dychu. Na ten przykład nasz GS w Barwicach (pow. Szczeciński). Siedziało tam sobie kilku kłach, co to ani Pałak ani Czech tylko urzędnik, grosza zlanego było za ich głowę nie dał i patrzył na jakich wynalazków się dorobili! Uprosili mianowicie sprawozdanie, jak chłopa nikt w kraju. Aż dziw człowiek bierze, że można sobie tak zupełnie bez kłopotu prowadzić. Po prostu w sprawozdaniu za pierwszy kwartał 1952 zmienia się daty i już macie następne, za kwartał drugi. Dowiadujemy się w lipcu, że ożyminy były dobre na skutek dobrej polityki nawozowej GS-u, a zaopatrzenie w ciepłą odzież przebiegało pomyślnie. Somy nie przeszły jeszcze do POM-ów i nie są GOM-ami, a o wyposzczeniu sklepowo do akcji zwinęły ani szychu ani dychu. Na ten przykład nasz GS w Barwicach (pow. Szczeciński). Siedziało tam sobie kilku kłach, co to ani Pałak ani Czech tylko urzędnik, grosza zlanego było za ich głowę nie dał i patrzył na jakich wynalazków się dorobili! Uprosili mianowicie sprawozdanie, jak chłopa nikt w kraju. Aż dziw człowiek bierze, że można sobie tak zupełnie bez kłopotu prowadzić. Po prostu w sprawozdaniu za pierwszy kwartał 1952 zmienia się daty i już macie następne, za kwartał drugi. Dowiadujemy się w lipcu, że ożyminy były dobre na skutek dobrej polityki nawozowej GS-u, a zaopatrzenie w ciepłą odzież przebiegało pomyślnie.

Ostatnio zastanawiałem się nad tym, że w naszym GS-u drugi pomysł racjonalizatorski i znowu chłopci nadziwili się nie mogą jego genialnej prostocie. Chodzi o zebranie delegatów. Buchalter Klebicki podszepnął taką myśl: jeżeli 80-ciu delegatów reprezentuje wszystkie gromady, to delegaci tych delegatów, będą także reprezentować gromady. No i na zebranie wezwano 20 ludzi zafuturanych, spokojnych, pewnych. Różno, szybko, żadnych tarć i nieporozumień. Ale nie o to nawet pracownikom GS-u idzie. Oni chcą się z „wyzwolenia kapitału” w 60-ciu chłopach, którzy mogą się myśleć o czym innym i równocześnie reprezentować gromady. Są to słowa Klebicki.

Lecz sami wiecie, jak niewdzięczni potrafili być ludzie. Upowiadali mnie, jako korespondenta, żeby poproszę prasę zażądać „wyzwolenia czasu” dla urzędników z GS-u. Krótko mówiąc — wylać ich, niech się nie meczą, a widzą do socjalizmu na prawdę będzie bliżej. Jan Biegala

Przestało straszyć w Kikółach

Statystyka, to mądra rzecz. Poucza nas mianowicie, że w gminie Kikół kuliacy posiadający od 15 do 25 ha wykonalny plan dostawy zboża w 31 proc., a jeszcze więksi, tacy ponad 25 ha — tylko w 25 procentach.

— Ale całej historii sprzedaży zboża państwu przy pomocy cyfr nie wytłumaczysz, a to dlatego, że Kikół są nader osobliwa gmina. Krótko mówiąc, dzieją się tam rzeczy, aż się boje powiedzieć — nadprzyrodzone.

W GRN zaględyli się duchy, ogromnie chytre na papierze. Akta, podania a już nade wszystko skargi na kulaków i słuszne pretensje mało i średniorolnych chłopów gina bez śladu. No, były — każdy urzędnik to przyznać, widział na własne oczy, a teraz przepadły jak kamień w wodę.

I tak: wnioski trójkę gromadzką do ukaranie opornych kulaków z Fa-

blanek — zgineły. Nazwiska bogaczy z Chalina, sabotujących skup zboża ocalali, ale wymiar grzywny, wypisany na innej kartce zdołali duchy znieść. Pozary również podanie mało i średniorolnych z Chalina, którzy prosili o przedłużenie terminu do stawy, gdyż nie dostali na czas maszyn, wskutek czego uznano ich za opornych i przykładnie ukarano. Ostatni występ duchów z GRN-u w Kikółkach polegał na zaczarowaniu referenta skupu. Chłopi się pokreśli i z namiast kulaków polecieli ukarać biedotę, pierwszą ze wszystkich w dostawach.

Nie było innej rady, musieliśmy odprawić egzorcysty. Urzędnicy za pewniali, że nie mogą pojąć odpowiedzialności za działalność cieni kulaków. Udowodniliśmy im jednak, że to oni są żywymi demonami wrogów naszej Polski. I poszli na grzybkę.

Piotr Pigwa

SPROSTOWANIE.

W nr. 35 w recenzji pt. „Miasto pod łuną” J. Rurawskiego zakradł się błąd z którego wynika jakoby omawiana powieść była pierwszą książką Marii Klimas-Białutowej. Autorka debutowała w r. 1947 książką: „Na halдах rosną nowi ludzie”.

Za błąd ten przepraszamy autorkę.

Wincenty Dziurba

Udać bowiem tylko, że nie rozumie przyczyn obecnych naszych trudności w produkcji rolnej, że nie rozumie tego, co u nas w powiecie rozumie już prawie każde dziecko i prawie każda kobieta, która mniej jest może edukowana od niego, bo miliony ich nie miały dostępu do nauki za czasów sanacyjnych i nieraz dopiero za Polski Ludowej skończyły kurs dla analfabetów.

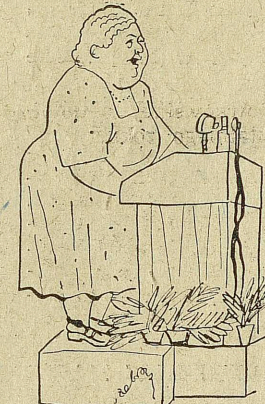
Biadoli obłudnie ob. Czakov i płacze łzami krokodyla, że wszystkie młodzi wiejska pracuje w przemyśle. I z tego powodu ob. Czakovowi pewnie brak rąk do pracy w jego kulackim gospodarstwie? Ale brak, to chyba tylko tych na upiót darmowych (jak przed r. 1939) rąk do pracy, które od świtu do nocy pracowały u niego i u innych kulaków za zgrzebny, porwany łach, za marny ochłap, co się „życiem” nazywało... za światło dzienne i w stajni ogrzanie...

— Ale... ta sprawa jest nareszcie rozwiązana. Młodzi chłopstwa, która za czasów sanacyjnych nawet marzyć nie mogła o zdobyciu nauki i zawodu, dziś ma dostęp wszędzie.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI MŁODYM DO LOTU Wybór wierszy	
Str. 150	zł 5.—
TADEUSZ KUREK CIEŃ NAD HELGOLANDEM	
Str. 216	zł 9.30
WIKTOR WOROSZYLSKI PRZYJACIELE ZZA ODRY Notatki z podróży do NRD	
Str. 80	zł 4.—
ANNA WYSZNACKA BLIŻEJ ŚWITU Opowieść o towarzyszu Krzysie	
Str. 196	zł 8.—
„KSIĄŻKA  I WIEDZA“	

Gazetka gminna

Nie dla Dziewięzyc Sperka

Anna Wiliam — prezes
G.S. Dobra pow. Nowogrod

A jednak przodujemy

Opiszę wam w jaki to sposób nie zostaliśmy przodującą gromadą w akcji zwinnej, omlotowej i skupie zboża. Ano, było tak — zbóż w naszej gromadzie Galiń (pow. Górowo woj. olsztyńskie) wyszły nam podziw pięknie. Człowiek poeta nie jest, ale go wzruszały fałszywe, dołgodne pola. Zniwa poszły jak po masie. Gospodzie pomagali sobie wzajemnie, ale nie dlatego, że byli brakowało u nas rąk do pracy. Wyjątek stanowią dwie wdówki, do których przyszedł dobrowolnie ludzie z pomocą. Zresztą młode są jeszcze, potarłamy się je wydać, ale to do rzeczy na razie nie należy. Ludzie zwolili sobie wzajemnie żyto, owies, jęczmień, żeby przedel szyć, chcieliśmy bowiem wygrać współzawodnictwo.

Soltyś zaproponował, że byśmy się wykazali jakimś czynem społecznym. A byłaby po tem wcale dobra okazja, gdyż spółdzielnia produkcyjna w Warszawskich odczuwa brak rąk do pracy. Pomogliśmy.

A jednak przodująca gromadą nie zostaliśmy. Wbrew oczekiwaniom? Nie, wbrew GRN. Pracują tam — proszę Was — znakomici figlarze. Wyznaczyli nam termin odstawy zboża na 28 września 1952 r., a maszyny przygotowali łącznie z GOM-em na 1 września br. Powiadamy — byliśmy pierwsi w żniwach, czyn społeczny zrobiliśmy, u innych sponki jeszcze na polach, dajcie nam maszyny, wyznaczcie godziny terminu, a będziemy pierwsi w gminie.

Pierwsi to nie, bo termin minął, w powiecie już o nim wiedzą, nie się nie da zrobić, na przyszły rok też będzie skup, to się poprawicie — takieśmy mądrości usłyszeli.

Na szczęście wychodzi nas ludowa prasa i za jej pośrednictwem pragniemy, powiedzieć, że uważamy się za przodującą gromadę, co każdy uczciwy w okolicy może zaświadczyć. Przodujemy wbrew opini GRN, ale nie rzeczywistości.

Na wolowej skórze nie spisałbyś zasług naszego soltyśa — Sperki Aleksandra z Dziewięzycy (gm. Sanocyn, pow. Pinczów), no ale z pomocą Boską może uda mi się opisać przynajmniej najważniejsze.

Jakoś z wiosną mieli nasi chłopci otrzymać saletrak na wzmocnienie pszenicy i żyta. GS przysłał je do magazynu i czekał na listę potrzebną. Od jacych. Czeka tak do dzisiejszego dnia, ponieważ soltyś, wykombinował sobie, że jakby chłopci sa-

letrak dostali, przestabilby zasług naszego soltyśa — Sperki Aleksandra z Dziewięzycy (gm. Sanocyn, pow. Pinczów), no ale z pomocą Boską może uda mi się opisać przynajmniej najważniejsze.

Następnie przetruli nasi soltyś swoją troskę na burakach. W tym celu usunął dotychczasowego delegata od buraków i sam się mianował jego następcą. Od każdego ha pobiera 45 złotych „za stracony czas”. I rzeczywiście należy mu się, bo też tracił nie mało czasu na picie wódki.

Dalsza jego zasługa polega na wzbogaceniu naszego języka. Wtędził w życie cały szereg nieznanych dotąd powiedzonek „urzędowych” w rodzaju: „ty idioty”, „dziadzie pieronki”, „dupku zolędnym” itp.

I jeszcze jedno. Nasz soltyś wzbogacił zasób przysłów ludowych, gdyż nieustannie styży się w gminie — „nie dla Dziewięzycy Sperka”.

To byłoby z grubszą wszystkim. Sperka przez wrodzoną mu skromność o swoich zasługach nigdy do prasy nie pisze, a pewno i przynależnie by się nie chciał. A to mu nie spodobać na łamach naszej Gazetki gminnej przykował porządnie nie pojedyncze książki, ale całą literaturę ludową, co się nie zgadza z opiniami naszego redaktora. Kłopoty Bibliotekarzy, który poleca czytelnikom nie tylko Orla, Marce, czy Nizurskiego, ale również Piętkę, Koprowskiego, Schabowskiego i innych. Słowem w krytyce, jak u Reya — ksiądz wini pana, pan księdz, a nam biednym zewsząd nęca. Nam Bibliotekarzom, którym głowa pęka od tych sprzecznych opinii.

A teraz druga sprawa, którą o nowym trzeba wyjąć z redakcyjnego koza, bo jest ważna. Spośród książek, które pisma literackie recenzowały, najważniejszych nie ma w naszych bibliotekach. Nic tu szukanie że świecą nie pomoże: Strykowski, Gołkowski, Biega do Fragała, Nowego, Pamiętki z Celulozu, Bobruka „Matki i syna”, Czeszki „Pokolenie”, Iwaszkiewicza przekładu z Marivaux „Karięra Wiśniaka”, czy Koźnińskiego „Piętki z ulicy Barskiej” w naszych gminnych bibliotekach nie znajdziesz. Polewajcie więc truća dyskusje krytyków, ich namietne spory, nowe niezwykłe sformułowania, jeżeli nasz masowy czytelnik nie dostanie do rąk naszych najlepszych powieści. Nasza Nowa Kultura powinna, jeżeli chodzi o literaturę, polecać nie tylko nam, ale i powstanie książka a jeden krytyk przeciwstawia się drugiemu, nawet nie czytając jej (to czym donosi „Nowa Kultura” na ostatniej stronie numeru w którym mnie wydrukiwał) ale i na trosce o czytelnika, dla którego się przecież książki pisze. Trzeba więc krytykę zabrać i o obieg książek po kraju.

W nadziei, że tym razem redaktor nie zanie, przysłał...

„Cóż to — przypisaliście Pięć złotych mi do rachunku?” „A książka? — co se myślicie — Ze książka jest w podarunku?” „Książka? — co też plectecie? — Toż żadnej książki nie brałem!” „Ale weźmiecie ją zaraz: Do gwoździł Wam ją dodałem.” „Muszę być ten dodatek?” „Musili...”

„A książka, ciekawa?” „Książka, jak książka...” „A tytuł?” „Jak miedź i mosiądz się spawa?” „Toż książka dla metalowca — Ja — rolnik!”

„To mi nie wadzi. Sto takich książek dostalem — Muszę je rozprzodzić!” „Podobne do tej rozmówki. Można usłyszeć w spółdzielni, Gdy książkę dodają do gwoździ, Do wiadra, lub do patelni!” „Lecz kupujący rad często, Bo książkę kocha...”

Lecz kłopotu nie mamy, Gdy rybę dodają zepsuta, Albo ser stary, spleśniały. Wykreca się kupujący, Wykłóca, dodatku nie chce, Lecz — wreszcie bierze rad nie rad, Choć woń go brzydka w nos lechce. Nie weźmie — odmówia sprzedaży. Piótna, welenki, drelichu, Weźmie — cuchnący dodatek. Pod próg podrzucę po cichu. Gdy „woń” cie zaleci z GS-u. Przechodni, nie tam se głowy: To gminna spółdzielnia sprzedaje Towar defektywny.

nym gospodarstwie. Ale nieuczciwie liczy te dochody. Ja sama mam 5-ciohektarowe gospodarstwo, to najlepiej wiem. Prawda, że zarobi się miesięcznie przeciętnie po paręset złotych, ale przecież do tego dochodzi i mieszkanie i produkty z własnego gospodarstwa. A robotnik przecież za to wszystko musi płacić. Ja robotnikom nie zazdroścę. Jedynie mogę powiedzieć — cześć ich uczciwej, świadomej i ofiarnej pracy i ich szlachetnemu wysiłkowi. Ja pamiętam dobrze, a ob. Czakov już zapomniał, w jakich to trudnych warunkach pracowali ci robotnicy przez pierwszych parę lat po wojnie. A i teraz im się jeszcze nie przelewa, bo podroży artykuły rolne sprzedawane przez wieś, co zaudzieliśmy różnym wrogom, tak jak ob. Czakov, który swoim gadaniem i biadoleniem celowo odciągają mniejszą świadomością chłopów od wywiązania się wobec Państwa, od podnoszenia hodowli i wydajności z ha. A zagadnienie rąk do pracy w rolnictwie, my tu w Olsztynie, rozwiązujemy w ten sposób, że zakładamy spółdzielnię produkcyjną. W gospodarstwie zespołowym przy pomocy maszyn, za pomocą nowoczesnej techniki, przy mniejszej ilości ludzi osiągamy większą wydajność z roli. Niech ob. Czakov przyjdzie w nasze piękne strony i zobaczy spółdzielnię produkcyjną w Brosinach, pow. Susz, gdzie chłopci gospodarują wspólnie i mimo krękatych bogaczy i wszelkich szkodników osiągnęli dobre wyniki. Po spłaceniu różnych świadczeń i pożyczek dniówka obrachunkowa wysła im po 40 złotych — niech więc ob. Czakov nie pisze, że gospodarując na roli nie można zarobić więcej jak do 20 zł dziennie.

Ob. Czakov pisze: „zahamować odpływ ludności do przemysłu”. A to przecież znaczy zahamować rozwój przemysłu i tak jak było przed wojną zmniejszać stale ilości nawozów sztucznych, maszyn rolniczych, obuwia, odzieży itp. To znaczy przywrócić przedwojenną nędzę i zacofanie wsi. Na to się żaden uczciwy chłop nie zgodzi i z kłonią by takiego „mądrogo” wygnął ze wsi.

Tak może mówić tylko wróg, któremu jak nóż w sercu tkwi piękna rozbudowa naszego przemysłu, naszych elektrowni i innych fabryk, nasza praca i walka o sprawiedliwość, o umocnienie siły, obronności i niepodległości naszej ojczyzny, o lepsze życie i w mieście i na wsi.

Wanda Augustynowicz

Iława, pow. Susz
woj. olsztyńskieStanisław — Dziewiętowski
grom. Nowa Wieś, pow.
Sulęciński, pow. Nowogrod

Obudzić redaktora

Pisałem niedawno do jakiegoś redaktora o „Nowej Kulturze” o tym, że samemu księżce można wyciąć w prasie literackiej.

— Ale widać redaktor był śpiący, bo połowa tekstu „Nowej Kultury” o tym, że samemu księżce można wyciąć w prasie literackiej, nie była w prasie literackiej.

— Ale widać redaktor był śpiący, bo połowa tekstu „Nowej Kultury” o tym, że samemu księżce można wyciąć w prasie literackiej, nie była w prasie literackiej.

— Ale widać redaktor był śpiący, bo połowa tekstu „Nowej Kultury” o tym, że samemu księżce można wyciąć w prasie literackiej, nie była w prasie literackiej.

— Ale widać redaktor był śpiący, bo połowa tekstu „Nowej Kultury” o tym, że samemu księżce można wyciąć w prasie literackiej, nie była w prasie literackiej.

— Ale widać redaktor był śpiący, bo połowa tekstu „Nowej Kultury” o tym, że samemu księżce można wyciąć w prasie literackiej, nie była w prasie literackiej.

— Ale widać redaktor był śpiący, bo połowa tekstu „Nowej Kultury” o tym, że samemu księżce można wyciąć w prasie literackiej, nie była w prasie literackiej.

A. Kowol-Marek

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12 tel. 752-50 Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7
Tel.: Red. Nacz. 727-86. Tel.: Redakcji 751-80. Wewnętrzny 91, 63

Warunki prenumeraty:

miesięcznie — 3 zł. kwartalnie — 9 zł. półrocznie — 18 zł. rocznie — 36 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5

3-B-18797